8

UMARLI I ŻYWI.

UMARLI I ŻYWI

ALBO

WSZYSTKIEGO PO TROSZE.

DRAMAT W 5 AKTACH

PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1842.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1842 r. 5 Junii.

Cenzor Jan Waszkiewicz.

OSOBY.

Leonardo Hrabia Monti.
Lucya di Montalto Hrabina Monti.
Fabio Cesena.
Dyana di Volano.
Gonzago di Branca.
Tomasz Gianozzi.
Klaudya Monti.
Guido Benedetti.
Dominika.

Scena w Ferarze i jéj okolicach.

Dramat ten przedstawiony był po raz piérwszy na Teatrze Lwowskim 2 Marca 1842.

Akt Piérwszy.

Akt I.

Scena Piérwsza.

(*Teatr wyobraża ogród. W głębi widać oswiecony pałac Hr. Monti. Słychać oddaloną muzykę. Drzwi srodkowe do sali otwarte, gdzie ukazują się niekiedy przechadzający się goście*).

(*Gonzago z listem w ręku i Guido w podróżnéj czarnéj sukni wychodzą z boku*).

GONZAGO.

Usuńmy się cokolwiek na stronę Guido Benedetti! Niechciałbym aby cię teraz widziano, póki o twoim przyjezdzie sam nie uwiadomię Hrabiny i listu jéj tego nie wręczę.

GUIDO.

Przyznaję, żem się niespodziéwał trafić na

taką chwilę. List Ojca Świętego, z którym do Ferary przybyłem, nie wesołéj musi być treści. Oddał mi go Syxtus z czołem zmarszczoném i ze smutném westchnieniem. Nie myślał, bez wątpienia, że pałac jego siostrzenicy jaśnieje od świateł, że wesoła muzyka grzmi po salach i świetne pary pląsają.

GONZAGO.

Nie jest to chęć dobréj Lucyi. Jéj zdrowie wymagałoby raczéj pokoju i cichości. Są powody, są rzeczy....

GUIDO.

O których się nie mówi. Rozumiém. — Ale jaka u was świetność! jakie stroje! jakie lica!...

(*Dyana pokazuje się we drzwiach pałacu. Ogląda się wokoło, i szybko przebiegając na prawo, gubi się za drzewami*).

Gonzago! któż jest ta cudna piękność, która wdziękami, strojem, śmiałością wejrzenia i lekkością biegu przypomina boginią łowów.

GONZAGO.

Nosi także jéj imię. Jest to Dyana di Vo-

lano, któréj stary mąż zostawił bogaty spadek i wolność.

GUIDO.

I któréj zapewne używa nie myśląc o jutrze.

GONZAGO.

Młodość, piękność i swoboda są to nieprzyjaciele jutra każdéj kobiéty. Ta na przykład, wychowana z Hrabiną, kochana od niéj jak siostra, dziś... ale nie mówmy o tém. Podziękuj, Guido Benedetti, Ojcu Ś. za błogosławieństwo, które mi przysłać raczył. Gdym go widział po raz ostatni, jeszcze wówczas Kardynał Montalto, powierzył mi opiekę młodéj swéj siostrzenicy. Rad on był, że wchodziła do najświetniejszego domu Włoch całych, ale słusznie się obawiał o przyszłość téj dobréj i niewinnéj Lucyi. W rzeczy saméj jéj czysta myśl, jéj wesoła i rzeźwa dusza wkrótce się pokryła chmurą na widok zepsucia tego miasta. Nieodstępowałem jéj odtąd. Jestem, mogę powiedzieć, gospodarzem i opiekunem ich domu. Racz więc złożyć moję cześć i po-

kłon u stóp Ojca Ś. i powiedz mu, że cokolwiek się zdarzy, Gonzago di Branca siostrzenicy jego nieodstąpi.

(*Fabio pokazuje się z daleka i staje zamyślony patrząc na pałac*)

GUIDO.

Któż jest ten młody człowiek, Gonzago? wyraz jego twarzy uderzający; ale ten wytworny strój nie odpowiada smutkowi jego czoła i powadze ułożenia.

GONZAGO.

Jest to Fabio Cesena, młodzieniec bogaty i z rozumem. Nieszczęściem wpadł razem między trzy kochanki.

GUIDO.

Aj, aj, to za wiele.

GONZAGO.

Piérwszą jest młoda i ładna dziewczyna, przyjaciółka Hrabiny i krewna Hrabiego, Klaudya Monti, ale on jéj unika. Drugą jest ta sama czarująca Dyana, która go wabi, ale z nim jeszcze kogoś. Trzecia, podobno najgorsza i najniewdzięczniejsza ze wszystkich, jest to Muza.

GUIDO.

A! więc Poeta! dla tego sam nie wié czy patrzéć na niebo czy na ziemię.

GONZAGO.

Z resztą jest to człowiek wesoły i rozumny.

GUIDO.

A jednak poeta! żal. — Ale coś wasi goście w poruszeniu. Pora i mnie spocząć po drodze. Gonzago di Branca! chciéjże wręczyć list Ojca Ś. dziś jeszcze Hrabinie. Jutro już muszę być w drodze z jéj odpowiedzią.

GONZAGO.

Spełnię, jak życzysz. Udaj się tą scieszką Benedetti. Znajdziesz tam człowieka, który ci ukaże moje mieszkanie. Proszę cię, rozkazuj w niém, jak w domu. Dobranoc.

GUIDO.

Raczéj dobrydzień. Noc ucieka, i ranek, ojciec pracy i zdrowia, wkrótce zawita i zawstydzi te lampy. Do widzenia (*odchodzi*).

(*Fabio zbliża się zwolna*).

GONZAGO.

Coś smutny jesteś, Fabio!

FABIO.

Smutny.

GONZAGO.

Źle robisz. Smutek nie przystoi człowiekowi, kiedy ma rozum, majątek i zdrowie.

FABIO.

Wszystko to oddałbym za jedno jéj spójrzenie; a ona . . . oh!

GONZAGO.

Ona oddaje wszystko za spójrzenie innego. Cóż robić? masz rozum, żebyś sobie wyperswadował; masz zdrowie, żebyś wytrzymał walkę rozumu z sercem; masz majątek, żebyś sobie kupił spójrzenie innéj.

FABIO.

Kupił?— Nie obrzydzaj mi świata, Gonzago! dość on mi się pokazuje brzydkim.

GONZAGO.

Patrz Fabio! jak się tam rozmaite pary przesuwają wziąwszy się pod ręce. Szepczą sobie miłe słówka; ci kłamią, że kochają, te udają że wierzą, i radość jaśnieje na ich twa-

rzach. Rób jak inni Fabio. Staraj się podobać, ale nie trać rozumu i wesołości. Gdy postrzeżesz, że twoja piękność goni za innym, ty się puść za inną. Smutnym nie bądź, bo cię wyśmieją; wymówek nie czyń, bo wierz mi, niéma słów gorzéj użytych i bardziéj straconych. Baw się, baw, mój Fabio, a świat nie wyda ci się brzydkim.

FABIO

(patrzy mu w oczy z uśmiechem).

W szczególniéjszym dziś jesteś humorze.

GONZAGO.

Jeśli sądzisz, że dla człowieka, mającego głowę i serce, pokój w domu jest rzeczą ważniejszą, niż zabawa za domem, to się żeń z Klaudyą.

FABIO.

Kochałbym ją, gdybym nie znał Dyany.

GONZAGO.

Ja myślę, że ją wtedy dopiéro pokochasz, gdy lepiéj poznasz Dyanę.

FABIO.

Widzę ja jéj wady, a przecież oprzéć się

nie mogę. Wreszcie, czyż ona mnie jednego oczarowała? Jak mi żal téj piękněj, téj delikatnéj, téj dobréj Lucyi, która nie może nie widziéć jéj zalot, i zabiegów swego męża.

GONZAGO.

Widzi je, bez wątpienia; niszczeje — ale znosi. Czasem tylko owém słówkiem, które się wyrywa z obrażonego serca, da poznać, że nie jest tak ślepa jak oni myślą. Jakże je sobie potém wyrzuca.

FABIO.

Biedna! smutna jéj rola.

GONZAGO.

Bez wątpienia. Ale porzucić męża gorzéj.

FABIO.

Patrz, moja niewierna Laura tu idzie.

GONZAGO.

Jak samotna i zamyślona!

FABIO.

Nie długo będzie tu samą *(pokazuje w przeciwną stronę)* czy widzisz?

GONZAGO.

Biédny Petrarko! widzę magnes i żelazo — Pójdźmy.

FABIO.

Ja się tu ukryję, choćby mię miał spotkać los Akteona.

(*Odchodzą między drzewa na lewo, i niekiedy ukazują się na scenie. Dyana wchodzi zwolna, i udając, że niewidzi przybliżającego się do niéj Hrabiego, obrywa listki astru i rzuca na ziemię. Hrabia bierze ją za rękę.*)

DYANA (*niby przelękniona.*)

Ach!

HRABIA.

Cóż? czy według życzenia wypada!

DYANA (*oglądając się*).

Jak myślisz, Leonardo, na co ciągnę kabałę?

HRABIA.

Chcesz się dowiedzieć, czy ja cię kocham.

DYANA

(*rzuca mu kwiatki w oczy*).

Dziécko! czyż mi na to potrzebna kabała?

HRABIA.

Czegoż więc chcesz się dowiedzieć?

DYANA

(*oglądając się*).

Chcę się dowiedzićć, jak prędko będę Hrabiną Monti.

HRABIA.

Wprawdzie Lucya chora, ale może jeszcze żyć długo.

DYANA.

Wkrótce może być słabszą.

HRABIA.

Życie ludzkie w ręku Boga.

DYANA

(*patrząc w ziemię*).

I w ręku doktorów.

(*Hrabia odchodzi na bok zamyślony*).

GONZAGO

(*chwyta za rękę Fabia*).

Fabio! zrobiłeś mię szpiegiem i podsłuchiwaczem — jednak dziękuję ci. Uciekaj od niéj — to Meduza.

(*odchodzą oba*)

HRABIA.

Czy słyszałaś co?

DYANA.

Ktoś mówił — tam.

HRABIA.

Zostań tu — obaczę.

(wychodzi na lewo. Dyana niespokojna — po chwili z prawéj strony występuje Fabio, z lewéj powraca Hrabia i patrzy nań z podejrzeniem).

FABIO *(kłania się).*

Bądź litościwą, piękna Dyano! osierociłaś nas tam wszystkich.

DYANA.

Mówiliśmy tu o tobie, Fabio!

FABIO.

Z ust tak pięknych nie mógł wyjść niesprawiedliwy sąd o nieobecnym.

DYANA.

Nie we wszystkiém jednak pochwalaliśmy cię.

FABIO.

Chociaż Poeta, nie boję się nagany, jeśli sprawiedliwa i miłosierna.

DYANA.

Wybacz Fabio! wy się zawsze boicie nagany, choćby najbardziéj miłosiernéj.

Fabio.

Ja boję się tylko dwóch rzeczy, Dyano! piękności i doktorów.

Hrabia.

Jak dziwacznie złączyłeś je z sobą.

Fabio.

Nie tak dziwacznie, P. Hrabio, jak ci się zdaje. Piękność surowością lub płochością swoją odbiéra nam dobry humor; zły humor odbiéra apetyt; stracony apetyt odbiéra zdrowie i oddaje nas w ręce doktorów, a ci nas najspokojniéj zabijają. Każda z tych dwóch rzeczy, pojedynczo jest straszną, cóż gdy się złączą silném i tajemném przymierzem.

Dyana.

Dawno tu przyszedłeś, Fabio?

Fabio.

Idę prosto z sali, gdzie wszyscy postrzegają nieobecność twoję, Dyano!

Dyana (*do Hrabiego*).

Kłamie. (*głośno*) Podajże mi rękę, Fabio, wrócimy razem. (*Fabio usuwa się*) Cóż to? nie

chcesz? niedawnoż podawałeś mi rękę na dalszą podróż.

FABIO (*kłaniając się*).

Byłem wówczas cokolwiek pijanym, piękna Dyano!

HRABIA.

Obrażasz grzeczność, Fabio!

FABIO.

Może to być z mojéj strony niedelikatność, ale przynajmniéj — nie występek.

HRABIA.

Możemy się obaczyć z sobą, w innéin miejscu.

FABIO.

Z ochotą P. Hrabio — chociaż masz żonę.

HRABIA.

Młodziku! przymówek nie cierpię.

FABIO.

Jesteś na takiéj drodze, że ich będziesz musiał znieść więcéj.

HRABIA.

Nauczę milczéć każdego śmiałka!

FABIO.

Najzuchwalszy śmiałek będzie w twojém sercu; i ten nie umilknie.

HRABIA.

Bez morałów, młodziku! (*podaje rękę Dyanie*) Pójdźmy. (*odchodząc zwraca się do Fabia*) Jutro, nie zapomnij.

FABIO.

Hrabio Leonardo Monti! gdy ci ta piękna Dama naznaczy czas i miejsce, nie więcéj będziesz o tém pamiętał.

DYANA.

Grubianin!

HRABIA.

(*dobywa szpady i Fabio także*).

Zuchwalcze!

KLAUDYA.

(*wchodzi spiesznie*).

Hrabina tu idzie.

(*Hrabia odskakuje i chowa szpadę. Fabio także. Dyana chwyta rękę Fabia, jakby ją miał prowadzić, który z podziwieniem na nią patrzy*).

DYANA.

Zostań, Fabio!

HRABIA.

Fabio! zgoda — do jutra. (*Fabio kłania się*).

(*wchodzi Lucya wsparta na ramieniu Gonzaga w czarném, ale gustowném i bogatém ubraniu*).

LUCYA.

(*patrząc po wszystkich z uśmiechem — po chwili*).

Zdaje mi się, żem tu widziała obnażone żelaza.

HRABIA.

Dyana ciekawa była widzieć napisy na naszych szpadach.

LUCYA.

(*kładąc rękę na ramieniu Dyany*).

Cóż, moja Dyano, czy rozumne?

DYANA.

(*zmięszana spuszcza oczy i milczy*).

LUCYA.

Zapewne tu nie dość widno, nie mogłaś przeczytać.

DYANA.

Nie mogłam zrozumiéć, Hrabino, — napisy są łacińskie.

LUCYA.

Ile wiém, szpada, którą mój mąż nosi, o-

fiarowana jego familji przez Karola VIII, Króla Francji i ma napis francuzki.

FABIO.

Na mojéj łaciński, Hrabino!— Nie zrozumiała go Dyana, i już na drugi patrzéć nie chciała.

LUCYA.

(*po chwili z uśmiechem*).

Grzecznego masz kawalera Dyano! — winszuję ci. Ale za długo zostawiłaś gości swoich, Leonardo.

HRABIA.

Moich? a nie naszych?

LUCYA.

Mój gość, gorąco wyglądany, jeszcze nie przybywa.

FABIO (*mrucząc ciszéj*).

Życie ludzkie w ręku doktorów.

DYANA (*do siebie*).

Szpieg! zapłaci mi za to.

LUCYA.

Pódź, dobra Dyano, zastąp tam moje miejsce; wszak ty umiész i lubisz mię czasem zastępować.

DYANA.

W czém tylko każesz, Lucyo!—Twoja matka wychowała mię, i dla ciebie czuję także tyle obowiązków!

LUCYA (*z uśmiechem*).

To też mi się odpłacasz, odpłacasz moja droga! Byłabym niesprawiedliwą, gdybym wątpiła o twojéj wdzięczności. — Idźże, idź. Fabio! prowadź swoję damę. Gonzago, podaj rękę Klaudyi. Ja tu trochę zostanę, na świéżém powietrzu będzie mi lepiéj. Proszę cię, mój mężu, zostań tu ze mną na chwilę. Mam ci zakomunikować ważną nowinę, która nas oboje równie interesuje.

(*wszyscy inni wychodzą*).

HRABIA. (*z niecierpliwością*).

Słucham tedy, o co idzie?

LUCYA.

Byłam zawsze dla ciebie dobrą żoną.

HRABIA.

Chwalisz się tém, co było twoim obowiązkiem.

Lucya.

I twoim obowiązkiem było dobrym być mężem, a przecież pochwalić się tém nie możesz.

Hrabia.

Tym sposobem nie przystąpiémy nigdy do rzeczy.

Lucya.

Gdy jesteś ze mną, liczysz czas na sekundy.

Hrabia.

Z tego wnieś jak miłe mi życie.

Lucya.

Mojaż to wina, Leonardo!

Hrabia.

Mojaż to wina, Lucyo, że cię kochać nie mogę?

Lucya.

Wymówki twoje gorzkie i niedelikatne. Dla każdéj innéj kobiéty jesteś grzecznym i boisz się ją obrazić. Żona tylko straciła w twoich oczach tę świętą tarczę słabości, którą szanujesz w płci naszéj. Tém okrutniejszym się dla mnie stajesz, im mniéj mam siły do

znoszenia. Przebaczam ci to, mężu; ale powiedz mi, maszże dość ufności, że ci to Bóg przebaczy?

HRABIA.

Nie myślałem, że jestem przy konfesionale.

LUCYA.

Lepiejby było dla nas obójga, gdybyś częściéj przed nim uchylał kolano. Ale dajmy temu pokój. Twoja to rzecz rachować się z sumieniem. Jeżeliś rozsądny, powinieneś wiedzićć, jak się uiścisz.

HRABIA.

Nie widzę do prawdy, dla czegośmy tu zostali. Do téj małżeńskiéj polemiki będziemy mieli dość czasu. Jeszcze nam zostanie jutro, pojutrze, i tak daléj. Bo uprzedzam cię, że ja się zmienić nie mogę, i ty zapewne milszą mi się nie staniesz.

LUCYA.

Kiedyś jednak byłam ci miłą.

HRABIA.

Nigdy.

LUCYA.

Nie mówiłżeś mi ani razu, że mię kochasz?

HRABIA.

Mówiłem.

LUCYA.

Więc kłamałeś?

HRABIA.

Byłaś dziécikiem niedoświadczoném i dla tego wierzyłaś słowóm, które się rzucają kobiétóm, jak robaczki na wędce.

LUCYA.

Sądziłam cię szlachetniejszym.

HRABIA.

Chceszże, abym był szczerym.

LUCYA.

Powiedziałeś mi już tyle, że się więcéj szczérości twojéj nie boję. Szkoda, żeś cokolwiek szczérszym nie był sześć lat temu.

HRABIA.

Sześć lat temu byłaś piękną i bogatą. Twój wuj był Kardynałem. Powszechne zdanie sadzało go na stolicy apostolskiéj. Ja potrzebowałem związków i pieniędzy. Sądziłem

że czas, przyzwyczajenie, twoja młodość, twoja piękność dadzą mi te kilka gran przywiązania, którém się leczy ckliwość małżeńskiego pożycia. Sześć lat przeszło, choroba powiększyła się do niezniesienia, a lekarstwa niéma — i nie będzie. Czas, Lucyo, abyśmy pomyśleli o innym środku. Kilka słów, które przeszlesz Ojcu Świętemu, rozwiążą te kajdany, które mnie ciężą, i pod któremi ty usychasz i więdniesz.

LUCYA.

Właśnie o tém chciałam z tobą mówić. Pisałam do mojego Wuja.

HRABIA.

I cóż? odebrałaś odpowiedź?

LUCYA.

Tylko co przybył posłany, który mi przywiózł błogosławieństwo Ojca Świętego i jego odpowiedź.

HRABIA.

Cóż, zgadza się?

LUCYA.

Jak cię to zainteresowało? — Upokarzasz mię bez litości.

HRABIA.

Co pisze Papież?

LUCYA.

Ojciec Święty lituje się nad moim stanem; ale mię zachęca do cierpliwości i wytrwania. Powiada, że żadną miarą na żądanie moje zgodzić się nie może; że rozwód sprzeciwia się kardynalnym zasadóm i pojęcióm jego o świętości sakramentu; że póki siedzi na stolicy apostolskiéj, żadne małżeństwo rozwiązaném nie będzie, i że dla familji swojéj wyjątków czynić nie chce; że oprócz tego, ma jeszcze inne, największéj wagi powody, dla których żąda i rozkazuje, abym była i umarła Hrabiną Monti.

HRABIA.

Dumny starzec! gdzie list jego?

(*Lucya daje mu list, on go przebiega z nieukontentowaniem*).

LUCYA.

Nie marszcz się tak, Leonardo! Zniszcza-

łam, znikł uśmiech z ust moich i wesołość z serca; stałam się tęskną towarzyszką— wiém to sama. Ale to lice, z którego opadły wszystkie kwiaty, jesienną barwą swoją powinno cię cieszyć i dawać piękne nadzieje. Jeszcze cokolwiek cierpliwości, mój mężu! a wszystko się skończy.

(przybliża się i kładzie rękę na jego ramieniu).

Nie udało mi się przyśpieszyć chwili rozdziału — chciałam jednak, i Bóg mi świadkiem, żem chciała szczérze, chociaż serce moje pękało, bo, Leonardo! — ja ciebie kocham!

HRABIA.

(wstrząsa się, odpycha jéj rękę; rzuca list i wychodzi. — Lucya zakrywa twarz i płacze. Gonzago przystępuje z przeciwnéj strony i staje przed nią w milczeniu).

LUCYA.

To ty, Gonzago! dziękuję ci, że mię nie opuszczasz. Wierna przyjaźń twoja jest jedyną ulgą w moim smutku. Przebyłam ciężką chwilę.

GONZAGO.

Przygotuj się, Hrabino, na coraz cięższe.

LUCYA.

Proszę cię, nazywaj mię Lucyą. Tu mię nikt tak nie nazywa z miłością. Gdy ty wymówisz to imię, które z taką pociechą wymawiała moja matka, przypomnę sobie piękne Rimini, i dom rodzicielski, i wszystkie nadzieje młodości.

GONZAGO.

Nigdy nadzieje nie były srożéj zawiedzione.

LUCYA.

Nie wiém prawdziwie kogo o to obwiniać! Każda rzecz musi mieć swoję przyczynę. Gdzież przyczyna, gdzie źrzódło moich cierpień? Czy w nim? czy we mnie? czy w ludziach? Bez wątpienia i on winien, i inni ludzie winni; ale moja część musi tu być największa. Wesołość moja znikła prędko, zdrowie upadło. Nie mogłam mu się podobać z tém czołem tęsknem i zachmurzoném, z tém licem chorowitém i wybladłém. Nieprawdaż, Gonzago? — Powinnam była przyniewolić myśl swoję do obrazów wesela, aby usta się śmiały i iskrzyły oczy; powinnam była zmusić krew

swoję, aby igrała, i wycisnęła na mojém licu rumieniec świéżości i zdrowia. Nie uczyniłam tego dawniéj, teraz już zapóźno.

GONZAGO.

Szlachetna duszo! wynajdujesz w sobie winy, których niéma. O! nie czyń tego przed nim. Im większą, im zacniejszą się okażesz w jego oczach, tém więcéj go zawstydzać będziesz, tém mocniéj cię znienawidzi. Bądź tylko cierpliwą i milczącą.

LUCYA.

Ach! tracę już cierpliwość. Nic ci o tém nie mówiłam żem pisała do mego Wuja o rozwód. Bałam się że zganisz pośpiech.

GONZAGO.

Byłbym ci odradził, bo znam Syxtusa. Zapewne odmówił.

LUCYA.

Odmówił, i zgon mój przyśpieszy.

GONZAGO.

Czyś i ty co postrzegła, i masz jakie podejrzenia?

LUCYA.

Podejrzenia? jakie?

GONZAGO.

Lucyo! nie chcę ja cię straszyć naprożno, ale nie przyjmuj lekarstw z ślepą wiarą i z każdéj ręki.

LUCYA (*przerażona*).

Gonzago! Gonzago! czyżby doszli do téj ostateczności?

GONZAGO.

Występek, moja droga Lucyo, jest to góra spadzista. Kto raz zstępować po niéj zaczął, nie zatrzyma się aż u spodu.

LUCYA (*po chwili*).

Pódzmy, Gonzago. Oczy mię bolą — i serce mocno zabolało.

(*wychodzą*).

Akt Drugi.

Akt II.

Scena Piérwsza.

(*Pokój Dyany. Hrabia przechadza się zamyślony, Dyana w rannym ubiorze siedzi w głębokiém krześle. Jéj nogi oparte na bogatéj poduszce. Przy krześle stoi taboret, na którym leży lutnia*).

DYANA.

Wszystkie ofiary powinny pochodzić od nas; i jeszcze powinnyśmy być wdzięczne, że je przyjmować raczycie.

HRABIA.

Żądasz abym ci poświęcił honor.

DYANA.

A czegoż ty żądasz ode mnie?

Hrabia.

Nie ufasz memu ramieniu.

Dyana.

Więc moim kosztem chcesz pokazać, że twoja ręka silna i zręczna.

Hrabia.

Chcę ukarać jednego śmiałka, aby i inni umilkli.

Dyana.

Właśnie od téj chwili zaczną gadać.

Hrabia.

Obraził cię przy mnie, i zemsta do mnie należy.

Dyana.

Tą obroną gorzéj mię skrzywdzisz. Leonardo! mnie potrzeba aby Fabio nie żył, i każdy Brawo lepiéj mi w téj mierze usłuży niż ty. On nas podsłuchał; jego język trzeba skrępować śmiercią, a wypadek pojedynku nie pewny. Mnie go zostaw Leonardo.

Hrabia *(po chwili)*.

Niech i tak będzie.

DYANA.

(*wstaje i zbliża się do niego*).

Kocham cię, Leonardo!

HRABIA (*obejmuje ją*).

Czarodziejko? opętałaś mię.

DYANA.

(*wyrywa się z jego objęcia*).

Jeszcze nie zupełnie. — Ale dosyć tego. Idź teraz do żony Leonardo! Otocz ją troskliwością; bądź łaskawym i czujnym, póki nie przyjdzie chwila . . . O! Leonardo! są czynności, które się boją namysłu. Te dzieci wielkiéj, stanowczéj chwili, dziś poczęte, dziś się i rodzić powinny. Wtenczas tylko wychodzą na olbrzymów, pełnych czerstwości i siły. Gdy za długo noszone we wnętrznościach serca, rodzą się kaleki, które wstyd tylko rodzicóm swoim przynoszą.

HRABIA. (*po chwili*).

Och! któż wie jakie wówczas pęta na siebie nałożę.

DYANA.

Pęta mojéj miłości, Leonardo! — nie inne.

Jeśli rozumiesz, że będą za ciężkie, powiedz. Nigdy wahanie się nie zaplątało moich myśli. Pamiętasz, gdyś mi powiedział: kocham cię— odpowiedziałam ci od razu serdecznym pocałunkiem. Gdy powiesz: ciężysz mi —

(dobywa flaszeczkę).

te kilka kropel przebiegną w tejże chwili po żyłach moich i zatrzymają uderzenia serca, które ci gotowe oddać honor i sumienie.

HRABIA.

(wydziera jéj flaszeczkę).

To nie dla ciebie. Honor i sumienie! tak, i ja nic droższego oddać ci nie mogę. Jam twój, Dyano! chociaż piekło otaczać mię zaczyna. *(wybiega).*

DYANA.

Kocham cię Leonardo!

(rzuca się w krzesło, bierze lutnią i przegrywa Barkarolę— Dominika wchodzi ze szkatułeczką w ręku).

Nudna jesteś, Dominika!—wreszcie pokaż.

(przerzuca klejnoty).

Te kolczyki, te bransolety — sukienkę skromną i białą — we włosy kilka kwiatków malenkich, niewinnych, powój albo konwalią.

Rozumiész? — Cicho! drzwi się ozwały; jeśli to Fabio, wprowadź go do mnie.

(*Dominika wychodzi — Dyana przegrywa i śpiéwa, udając, że nie widzi wchodzącego Fabio*).

Kilka kropelek na kwiatku było;
Dwie łzy w jéj oczach od ranka;
Kropelki rosy słońce wypiło,
Łzy zdjęły usta kochanka.
Pocałował ją — i zdradził —
Idź precz ode mnie!

FABIO.

(*slucha i uśmiecha się*).

Tobie się to nie zdarzy, piękna Dyano! Ta piosneczka zupełnie dla ciebie nie stosowna.

DYANA.

Dla czegoż to, Fabio?

FABIO.

Naprzód, że w twojém oku nigdy podobno łez niéma; powtóre, że ciebie pocałować nie można; potrzecie, że ktoby cię raz pocałował, byłby chyba wrogiem własnego szczęścia, jeśliby cię zdradził.

DYANA.

Dowiodłeś uczenie. W rzeczy saméj piosn-

ka nie do rzeczy, i więcéj śpiéwać jéj nie będę. A teraz powiédz mi, Fabio, nie domyślasz że się, po com cię wezwała?

FABIO.

Domyślać się chęci takiéj jak ty kobiéty, byłoby to jednó, piękna Dyano, co patrząc na jastrzębia wiszącego w obłokach...

DYANA (*śmiejąc się*).

Zmiłuj się! jakież drapieżne porównanie!

FABIO.

Mógłbym znaleść daleko łagodniejsze, bardziéj pasterskie i wiosniane; mógłbym cię porównać do skowronka wiszącego w powietrzu — ale cóż, nie będzie podobieństwa.

DYANA.

Niepotrzebnie to mówisz. Wiém, jak umiész być grzecznym.

(*Fabio kłania się*).

Dość tego. Teraz słuchaj, co ci powiém.

FABIO.

Słucham.

DYANA.

I słuchaj uważnie.

FABIO.

Słucham uważnie.

DYANA.

Fabio! nie śmiéj się; nie igraj z memi słowami. Są chwile, które wplatają się w całą osnowę dalszego życia, jak nić czarna lub złota. Jedną z takich chwil jest dla ciebie chwila teraźniejsza.

FABIO.

To znaczy, że od niéj zależy przyszłe moje szczęście lub niedola! To co innego. Zaczynam słuchać uważnie.

DYANA.

Tak i powinieneś. — Obraziłeś mię.

FABIO.

Wiec jesteś obraźliwą? żal.

DYANA.

Obraziłeś mię dwojako. Podsłuchałeś mię jak szpieg, i słowóm niewinnym dałeś straszne znaczenie; to raz. Powtóre, w oczach człowieka, którego poważam . . .

FABIO.

Poważasz?

DYANA.

Którego kocham, jeśli chcesz, poniżyłeś mię swojém grubiaństwem. Takie urazy krwią się zmywają. Ja jednak mogę ci przebaczyć, ale pod jednym tylko warunkiem. Odpowiadaj, czy wolisz ze mną pokój, czy wojnę?

FABIO.

Gdybyśmy byli równi potęgą, wtenczas naturalnie z przyzwoitą godnością odpowiedziałbym ci: pokój za pokój, wojna za wojnę. Ale siły nasze nie równe. Tyś kobiéta młoda i piękna, a ja — tylko Poeta. Błyskawicą uśmiechu, piorunem wejrzenia uzbrojona, ty mię stokroć przewyższasz. Nie, Dyano! wolę z tobą pokój niż wojnę, racz mi tylko powiedziéć, co rozumiesz przez te słowa? Pokój ma oznaczać?...

DYANA.

Moję przyjaźń.

FABIO.

A wojna?

DYANA.

Moję zemstę.

FABIO.

Twoja zemsta znaczy: szpadę Hrabiego, truciznę, lub sztylet jakiego zabójcy.

DYANA.

Zgadłeś.

FABIO.

Cóż znaczy twoja przyjaźń? jeszcze to słówko racz mi szczegółowiéj objaśnić.

DYANA.

Bezwstydny!

FABIO.

Nie gniewaj się, piękna Dyano! każdy traktat powinien być jasny, inaczéj nie będzie trwały. Cóż?—Nie chcesz?—Bądź co bądź, wybiéram twoję przyjaźń. A teraz jakiż warunek?

DYANA.

Jesteś wyzwany.

FABIO.

Jestem.

DYANA.

I staniesz?

FABIO.

Wybrałem twoję przyjaźń; chcę bydź jéj godnym i stanę.

DYANA.

To własnie jest warunkiem mojéj przyjaźni, abyś nie stanął.

FABIO.

Nic więcéj?

DYANA.

Abyś był dziś jeszcze u Hrabiego; abyś wybrał taki moment, gdy sala jego będzie pełną; abyś piérwszy podał mu rękę, jak gdyby między wami nigdy nic nie zaszło; abyś był uprzejmym i wesołym, a potém, pożegnawszy go, przy wszystkich z wyrazem przyjaźni, abyś opuścił Ferarę na pół roku.

FABIO.

A potém?

DYANA.

Potém udasz się do Rzymu lub do Neapolu.

FABIO.

A potém?

DYANA.

(powstając z żywością).

Utopisz się w Tybrze.

FABIO.

Tak więc twoja przyjaźń znaczy tylko uniknienie szpady Hrabiego, sztyletu lub trucizny. Daruj. — Przyjaźń to czcza, pusta, jak orzech robaczliwy. Nie warta ofiary, jakąbym zrobił, uniżając się przed człowiekiem, którego nie szacuję i którego ty kochasz. — Wolę twoję zemstę.

DYANA.

I będziesz ją miał.

FABIO.

Lecz nie bez odwetu, Dyano!

DYANA.

Czy podniesiesz na mnie rękę?

FABIO.

Fe! mogłażeś tak myśléć? jam Poeta, Dyano! — i jeżeli uniknę twoich ciosów, zemszczę się — pieśnią.

DYANA.

(rzuca się w krzesło).

O! ciekawabym była jaką?

FABIO.

(bierze lutnię i zamyśla się — po chwili).

Posłuchaj , taką np.

(Deklamuje, przegrywając po strofach na lutni).

W pięknéj Ferarze błysła kobiéta,
Jak gwiazda na niebios kole;
W jéj twarzy słodycz była wyryta,
I pokój jaśniał na czole.

Na głowie miała hebanów zwoje,
Jéj usta miłością tchnęły.
Gdy wzięła lutnię,—harmonji zdroje
Zpod białéj ręki płynęły.

Jéj lekkiéj sukni fałdy uczone
Zwinnéj kibici nie kryły;
Gdzie weszła— ku niéj oczy zwrócone,
Ku niéj się serca modliły.

I był w Ferarze poeta młody,
Wśród tych, co dla niéj szaleli;
On ze łzą w oku wszedł raz na gody,
I tak ostrzegał czcicieli.

Nie wierzcie oczóm, co słodko mdleją,
Nie wierzcie czaróm uśmiechu;
Z ust koralowych jady się leją,
Pierś biała gniazdem jest grzechu.

Wam patrzéć na nią słodko i miło;
Was groźny wzrok jéj tak boli;
Słuchajcież co się u nas zdarzyło,
Uczcie się z cudzéj niedoli.

W pięknéj Ferarze jest Pan bogaty,
Związany szluby świętemi;
On dobroć żony cenił przed laty,
I wierzył w prawdę na ziemi.

Ale gdy ujrzał czarowne wdzięki,
Zapomniał przysiąg i wiary;
Nowe kajdany wziął z miłéj ręki,
I z jadowitéj pił czary.

DYANA *(zrywa się).*

Dosyć — przestań — za daleko żart posuwasz.

FABIO.

Koniec nie był żartobliwy — posłuchaj.

Raz gdy całował jéj białą szyję
Ona mu rzekła z pieszczotą:
Ach! twoja żona za długo żyje,
A jam okryta sromotą.

Te kilka kropel niechaj jéj żyły
Przebiegną cicho, tajemnie....

Dyana

(rzuca się nań ze sztyletem).

Nikczemy, podły potwarco!

Fabio

(chwyta jéj rękę i odbiéra sztylet).

Piérwéj mię twoje oczy raniły, teraz chciałaś mię dobić ręką. Używaj raczéj twoich oczu, Piękna Dyano! ich ostrze silniejsze. Obym mógł je tak ucałować, jak całuję tę rękę, która mię uderzyć chciała.

(całuje jéj rękę).

Dyana

(wydzierając rękę).

Znajdę taką, która będzie mocniéj trzymała sztylet niż moja. Strzeż się, abyś mię nie oskarżał o zdradę — i precz stąd.

(wychodzi).

Fabio *(sam).*

Furja! kania w piórkach synogarlicy; szatan w czarującéj masce anioła! — Rzecz niepojęta! każde stworzenie ma swoje piętno, w którém się odbija jego natura. Z ocz tygrysa, ze szponów sępa poznasz że drapieżny; spójrzyj na osła, powiész że głupi, na wołu

że leniwy, na lisa że chytry. Grzyb jadowity nie zwiedzie cię zapachem smacznego jabłka, trujący blekot nie oszuka wonią i kolorem róży. Człowiek tylko może oszukiwać. Twarz jego jest łupiną, która ci nie powié, czy pod nią ziarnko słodkie czy gorzkie, cierpkie czy kwaśne. Ugniesz kolano przed djabłem, który ci się pokaże w postaci anielskiéj dziewczyny; a złoczyńcę z zapłakanemi oczami, z pobożném westchnieniem, przytulisz do łona jak przyjaciela — fe! fe! obrzydły świat! bezpieczniéj, o! stokroć bezpieczniéj w lesie! *(wychodzi)*.

Scena druga.

(Laboratoryum chemiczne Tomasza Gianozzi. Izba sklepiona i ciemna, oswiecona wiszącą lampą. Na lewo półki z buteleczkami; na prawo wielki komin, przy nim butle, retorty i t. d. bliżéj sceny na lewo wielki stół, na którym globusy, astrolabia i xięgi porozrzucane).

TOMASZ GIANOZZI

(wchodzi — po chwili).

Jedni moi chorzy umrą, inni mają się lepiéj. Zdaje się więc że mi nikt nie przeszkodzi.

(przysuwa z pulpitem xięgę bliżéj sceny i siada w wielkiém krześle).

Pójdź, nieśmiertelny Paracelsie! wielem ci winien; gdybym cię tylko mógł lepiéj trochę rozumiéć.

(przewraca karty).

Niech tam sobie świat kołysze się i burzy; wszystkie jego namiętności rozbijają się u mego progu. O! co to za szczęście mieć cały świat tu, około siebie! i obciąwszy wszystkie sznurki, które myśl przywiązują do brzegu, puścić ją swobodnie jak łódkę, aby pobujała po swéj woli. — Ale gdzież to stanąłem? a! a!

(czyta, i naprzemian mówi sam do siebie).

„Hiliaster, pierwotna siła, ojciec istot stworzonych, w akcie tworzenia rozsypał się, rozpłynął w pierwobytnym utworze, Ideos.”— Ideos, jest to Limbus major, chaos — tak, to jedno. „W nim” to jest w tym Ideosie— „pierwotna materya obdarzona była pierwotną siłą życia, ale jeszcze nie rozdzieloną, nierozwiniętą”—dobrze, dobrze, głęboko!—„W nim były tylko trzy pierwiastkowe materyały: sól, siarka, merkuryusz; „sal, sulfur, mercurius”— Aha! owe S. S. M. o których Izaak Holandus i Bazyli Walentinus tyle piszą, a tak ciemno! ale cóż daléj?— „Z nich powstały cztéry elementa, i zrodziły się spirytualnie, jak iskra z krzemienia, jak drzewo z liśćmi, kwiatem i owocem z małego ziarnka”— hm! hm! spirytualnie, no! no! obaczmy— „każdy z tych elementów ma swojego Hiliastra” — Swojego Hiliastra? to coś ciemno— „I w każdéj z istot stworzonych są te same trzy pierwiastki S. S. M.

(pociera czoło i zamyśla się — Hrabia Monti okryty wiel-

kim płaszczem i w kapeluszu nasuniętym na oczy, wchodzi i staje przy Gianozzim, który go nie widzi).

Są te same we wszystkich istotach? ale jakże? materyalnie? to być nie może. Tak i Walentinus utrzymuje, i to właśnie jest absurdum; ale obaczmy. — „Nie są one w nich materyalnie, ale symbolicznie" a! to co innnego! — „Sulfur wyobraża wszystko palne w istotach" — a! — „Sal, wszystko rozpływające się" — ! — „Mercurius, wszystko lotne" a! a! *(uderza uradowany dłonią po xiędze i powstaje).* Tak, tak, symbola, nic więcéj!

HRABIA.

Co ci się stało? stary Filozofie!

GIANOZZI.

(staje przed nim i patrzy mu w oczy).

S. S. M. Symbola.

HRABIA.

(zdejmuje kapelusz i kładzie na stole).

Cóż to! od abecadła zaczynasz?

GIANOZZI. *(postrzega się).*

Ach! Panie Hrabio! przepraszam — Trochęm się zagłębił, trochę zapomniał i nie uważałem — prawdziwie przepraszam. My lu-

dzie zajęci radziśmy czasem zamknąć się w sobie, jak ślimaki w skorupie.

Hrabia.

I wtenczas zapominacie o ziemi.

Gianozzi.

Wtenczas obudzamy w sobie obraz całości świata, tego Makrokosmu, w którym ziemia, wraz z tém, co na niéj wielkie i swietne, jest garstką błota. — Ale cóż mi sprowadza ten honor i tak późno?

Hrabia.

Tomaszu Gianozzi! moja żona chora.

Gianozzi.

Nie tak bardzo. Będzie zdrówsza, może być nawet zupełnie zdrowa, przy pewnych warunkach, rozumié się. — Mam nawet dla niéj lekarstwo....

Hrabia.

Wolałbym, abyś go jéj nie dawał.

Gianozzi.

Czemuż to?

Hrabia.

Tyś uczony, i nie obrazisz się gdy ci po-

wiém. Temu, mój Gianozzi, że nie pomoże.

GIANOZZI.

Niewiara jest nieprzyjaciółką zdrowia; ona neutralizuje najlepsze lekarstwo. Zdrowy tylko żartuje z lekarza; chory garnie się do medycyny, jak dziécię przestraszone do łona matki.

(z powagą).

Szczególniéj tam, P. Hrabio, gdzie więcéj chora dusza niż ciało.

HRABIA.

Wszystko to prawda; ale i to prawda, że umiejętność wasza nie pewna i ślepa. Ty sam, choć bieglejszy od innych, chodzisz z zamkniętemi oczami po gmachu natury, i szukasz i macasz, gdzie są drzwi do jéj sekretów. Mamże czekać, póki ich nie znajdziesz? Kilka lat cierpię razem z kobiétą, z którą losy moje związane. Nuda, tęsknota, szpital w moim domu. Los i natura dały mi wszystko, aby życie moje było kwieciste, swietne, olśnione wszystkiemi promieniami radości i wesela; tym-

czasem dni moje więdną i dają mi smutny obraz jesieni na wiosnę. Pojmujesz to?

GIANOZZI.

Lekarstwo jest nasieniem; wszystko, co otacza chorego, stanowi błogie wpływy, zbawienny dészcz i rosę, która to nasienie rozwija i kwiat zdrowia wyprowadza. Najlepszy rolnik nie pomoże, kiedy posucha zwędzi rolę i zamieni ją w nieurodzajny kamień. Zrozumiałeś mię, P. Hrabio?

HRABIA.

Co chciałeś powiedziéć?

GIANOZZI.

Chciałem powiedziéć to, że ty sam byłbyś dla żony twojéj lepszym lekarzem, niż ja.

HRABIA.

Tak i ja sądzę. Dla tego też zamyślam sam ją wyleczyć, jednak za twojém pośrednictwem.

GIANOZZI.

Z ochotą.

HRABIA.

Nie pytam o to czy masz ochotę, lub nie.

Wybrałem cię dla pewnych powodów, i tobie chcę powierzyć sposób, którego mam użyć.

GIANOZZI

(*patrzy mu w oczy—po chwili*).

Jakiż to?

HRABIA.

Przypadek jest ojcem ważnych odkryć. Pewny mnich, który całe życie zgłębiał tajniki przyrodzenia i badał natury istot, znalazł to lekarstwo, którego nie szukał. Doszło ono do mnie przypadkiem; kupiłem je drogo, i chcę... abyś je dał zażyć choréj.

GIANOZZI.

Jestżeś pewny jego skutku?

HRABIA.

Tak pewny, jak twojego milczenia.

GIANOZZI.

Zbladłeś P. Hrabio.

HRABIA.

Blask téj lampy przykry i nienaturalny— i tyś blady.

GIANOZZI.

Głos twój zmieniony.

Hrabia.

Zdrów jestem i wiém co mówię.

(Stawia flaszeczkę i rzuca na stół worek ze złotem).

Oto lekarstwo; a to dowód, że skuteczne. Jest tu więcéj niż ci cała Alchemia dać może. Sekretu ci nie polecam. Znasz mię i wiész co mogę. Skrupuły z twojéj strony byłyby już niewczesne. Są przedsięwzięcia, które można spełnić lub nie spełnić, póki leżą w głębi myśli i tam dojrzewają. Gdy raz słowo dało im bytność, to słowo musi się stać czynnością, lub biada temu, komu było powierzone. *(wychodzi).*

Gianozzi

(załamuje ręce i patrzy za nim długo; potém bierze flaszeczkę, wlewa kilka kropel do kieliszka, nalewa na to drugiego płynu i przypatrzywszy się stawia powoli na stole).

Trucizna — to okropnie! a to co? — złoto — ah! to okropnie!

(rzuca worek ku drzwiöm— siada w krześle i zakrywa twarz rękami. Gonzago wchodzi w tejże chwili, podejmuje pieniądze i waży w ręku).

Gonzago.

Piękna summa! nie dziwię się, że Filozof

gardzi złotem, którego nie ma; ale żeby wyrzucał za drzwi tyle szczérego złota, to doprawdy nie rozsądnie. Co to znaczy, stary przyjacielu! chyba żeś znalazł ów wielki sekret, którego szukacie, i robisz złoto z żelaza. Winszuję ci takiéj umiejętności.

GIANOZZI.

Gonzago! umiejętność jest to zdrój czysty, zdrowy, który płynie cicho, swobodnie; w którym się odbijają zielone brzegi, kwiaty, doliny, błękit nieba. Ale gdy w ten zdrój przypadkiem wpłynie kałuża waszego życia, przezroczystość jego ginie, powab przepada, robią się męty, błoto. — Taką jest teraz moja umiejętność.

GONZAGO.

Nie widziałem cię nigdy w takim stanie.

GIANOZZI.

Rzuć to precz z ręki. To złoto cię zwala, jest to nagroda za zbrodnię.

GONZAGO.

U ciebie był Hrabia Monti.

GIANOZZI.

Więc wiész o tém?

GONZAGO.

Od dni kilku śledzę wszystkie jego kroki. Mam ważny powód domyślać się jaki był cel jego odwiedzin. Jeśli on ci zostawił to złoto, któreś odrzucił ze wstrętem, cała tajemnica dla mnie jasna i możémy o tém pomówić spokojnie.

GIANOZZI. *(powstaje).*

Ja o tém nie mogę mówić spokojnie. Ta ręka władała piórem dla ogłaszania prawdy; podawała napój, często gorzki, ale ratujący; trzymała nóż, ale dla tego tylko, aby część zgniłą ciała oddzielić od zdrowéj. I téj ręce podać truciznę na zgubę niewinnéj istoty, to imię rozrzucić po Włoszech, aby je wymawiano ze wstrętem, aby każdy, usłyszawszy je, zasłaniał się znakiem krzyża ś. O! na to mało być bogatym, potężnym, złoczyńcą; na to potrzeba być szatanem.

GONZAGO.

Nie zgadzam się z tobą, stary przyjacielu,

i nie widzę dla czego się tak oburzasz. Ludzie możni nie są tak głupi aby nie wiedzieli czém są sami przez się, a czém przez złoto, które posiadają. Widzą oni, że złoto nagina przed nimi wszystkie głowy, gdy się pokażą, zjednywa poszanowanie twoich braci uczonych; daje łaski wszystkich ładnych kobiét; tłómaczy wszystkie prawa na ich korzyść i t. d. i t. d. Cóż dziwnego, że człowiek bogaty pomyslał sobie, że złotem kupi sumienie, nawet takiego jak ty mędrca! Nie trzeba mu tego mieć za złe — on innego przekonania nie ma. Że zaś ciebie użył, to ci łatwo wytłómaczę. W przypadkach nagłéj śmierci najpiérwsze podejrzenie pada na lekarza. Twoje imię zasłania cię od wszelkiego podejrzenia, a on chce uniknąć pozorów zbrodni.

GIANOZZI.

Nie, to mu się nie uda. Wiém że prawa nasze niedołężne; żeby mię wyśmiano, gdybym go chciał oskarżyć. Ale ja pójdę do innego miasta; wołać będę, pisać i ogłaszać. Położę pieczęć hańby na jego czole, i tak spo-

niewiéram jego imię, jak on chciał skalać moje.

GONZAGO.

A on tymczasem kupi sobie usłużną rękę jakiego nikczemnika i struje żonę.

GIANOZZI.

Hm! jeśli mu zostało choć kilka kropel z tego, co mi tu przyniósł, to dosyć.

GONZAGO.

I sam ci to przyniósł! — przeszedł więc moje obawy. Zwiérz wziął górę nad człowiekiem; nieśmiertelna dusza przytaiła się i pozwoliła pobuszować ciału. Bywa to czasem. Dzięki Bogu przynajmniéj, że tobie swój piekielny zamiar powierzył. Dla dobra rodzaju ludzkiego czasem djabeł głupieje i źle doradza. — Biédna Lucya! ona może uwierzyła niespodzianéj przemianie, jaką w jego postępowaniu postrzegła. Od niejakiego czasu stał się dla niéj uprzejmym, troskliwym, dobrym. Jedni się dziwili, drudzy go uwielbiali; jam się przeląkł i wniosłem, że wykonanie zamiaru bliskie. Nie omyliłem się.

GIANOZZI.

Złoczyńca!

GONZAGO.

Nie, Gianozzi, nie jest to złoczyńca zimny i wyrachowany. Ja myślę, że jego sumienie strwożyłoby się wkrótce i żal wziąłby przewagę nad fatalną namiętnością, gdyby nie ten wąż w postaci cudnéj Ewy. Ten nie usnie i szeptać nie przestanie, póki się zbrodnia nie spełni. Podłych i usłużnych znajdą wielu; trucizny jest dość — tak, ona umrze niezawodnie — umrze, nie dziś to jutro . . . i z ich ręki.

(*bierze go za rękę*).

Tomaszu Gianozzi! nie masz ty jakiego napoju, któryby na czas niejaki zatrzymał uderzenie pulsu, działanie oddechu, i pokrył lice tą bladością, jaką za sobą zostawia dusza, gdy opuszcza ciało?

GIANOZZI.

(*bierze z półki flaszeczkę*).

Oto masz. W przyzwoitéj ilości dane sprowadza śmierć na dobę. Jakiż masz zamiar?

GONZAGO.

Chcę ją ocalić. Niech umrze dla świata. Tyle razy mi mówiła, że odżyłaby w murach jakiego świętego ustronia. Wywiozę ją do Sycylii. Tam pod piękném niebem, z pogodną myślą, z modlitwą w sercu i na ustach długo jeszcze żyć będzie.

GIANOZZI.

Bez wątpienia. Jeśli się zgodzi, ja ręczę, że niebezpieczeństwa niéma.

GONZAGO.

Trzebaby tylko kogoś na jéj miejscu pochować.

GIANOZZI (*pomyślawszy*).

Dziś lub jutro musi umrzéć jedna młoda, biédna kobiéta. Była ona kiedyś piękną, i w rysach twarzy ma cokolwiek podobieństwa. Wreszcie trupy prawie wszystkie do siebie podobne.

GONZAGO.

O to mniejsza. Urządzę tak, że nikt przemiany nie postrzeże. Każę ciało zakryć przed oczami ciekawych. Jemu powiém że się okro-

pnie zmieniła, i on pewnie nie będzie miał tyle serca, aby się przypatrywał twarzy swojéj ofiary. Biédna Lucya! musi więc ledz na katafalku; dać się otoczyć świécami; płaczem przychylnych, sądami obojętnych; musi przytulić się w trumnie do téj poduszki, z któréj się żadna głowa podnieść nie może, i to wszystko aby uniknąć gwałtownéj śmierci i oszczędzić zbrodni mężowi.

GIANOZZI.

Zbrodni mu nie oszczędzi. Przed Bogiem chęć jest zbrodnią. Uczynek jest tylko przydatkiem.

GONZAGO.

Bądź zdrów zacny przyjacielu! pomówiémy o tém obszerniéj. Jak tylko twoja chora umrze, daj mi wiedziéć.

GIANOZZI.

Weź to złoto, Gonzago! Masz prawo go użyć. Twój zamiar będzie potrzebował wydatków. Tego trupa, milczenie krewnych i wierność kilku sług trzeba będzie kupić. Wszy-

stko, wszystko kupić można za pieniądze — Pluję na wasz świat!

Gonzago.

Przecież ciebie Hrabia nie kupił. Pogódź się z tym światem, Tomaszu Gianozzi, i wierz mi, są wyjątki. Społeczność ludzka jest to ruda, wprawdzie podłego kruszcu, ale są w niéj i żyłki złota.

(*za sceną słychać krzyk i szczęk broni*).

Gianozzi.

Co to jest?

Gonzago.

Krzyk na ulicy i szczęk broni. U nas jeśli kto za długo żyje, jest trucizna, jest żelazo, które pomaga naturze w jéj dziele.

Gianozzi.

Krzyk się wzmaga.

Gonzago (*dobywa szpady*).

Poświeć, stary przyjacielu! trzeba dać pomoc wołającemu. (*wychodzi*).

GIANOZZI.

(staje ze światłem we drzwiach).

Ostróżnie — ośm wschodów na dół — O tempora!

GONZAGO *(za sceną).*

Światła! światła tu.

GIANOZZI.

Niosę, niosę.

(wychodzi i wraca bez lampy).

Miałem i ja kiedyś szpadę.

(Szuka w kącie między szpargałami — potém w innném miejscu i nie znajduje — tymczasem krzyk się wzmaga, nakoniec ustaje).

Niéma — wreszcie na cóżby mi się przydała? Ręka bez siły jest to pochwa bez klingi. — Ale coś ucichło.

(słucha).

GONZAGO.

(wprowadza na scenę ranionego i mdlejącego Fabio).

Tomaszu Gianozzi! przysuń krzesło. Na miły Bóg opatrz prędko ranę i zatamuj krew tego młodzieńca.

GIANOZZI.

Posadź go, posadź Gonzago, niech się nie wysila — trzymaj światło — bliżéj, tak.

(rozdziera suknię i opatruje ranę).

Rana wielka, ale miejsce nie jest niebezpieczne. Jeżeli sztylet nie był zatruty, żyć może.

GONZAGO.

Ledwiebym się nie założył, że sztylet zapłacony z tego samego worka.

GIANOZZI.

Zbójcy! — Teraz krew zalewa ranę, nic jeszcze z pewnością powiedzieć nie mogę. To się pokaże jutro.

(obwiązawszy ranę, ociera mu czoło i trzezwi go).

FABIO.

(podnosi głowę i patrzy wokoło).

Gdzież jestem? kto ty jesteś, stary?— Jeśli masz tyle uczciwości, ile siwych włosów na głowie, nie wychodź w Ferarze na ulicę, bo cię wezmą za warjata.

GONZAGO.

Uspokój się, Fabio! — To Tomasz Gianozzi. Widno, żeś był zawsze zdrów i szczęśliwy, kiedy go nie znasz; teraz przyszła koléj i na ciebie.

FABIO.

To ty? Gonzago! dałeś mi pomoc, dziękuję ci.

GONZAGO.

Przypadek zdarzył mi to szczęście.

FABIO.

Przypadek, słowo głupie i bez sensu, a przecież więcéj ma znaczenia, niż prawość mężczyzny i cnota kobiéty. — Czym mocno raniony?

GONZAGO.

Uspokój się.

FABIO.

Uspokoję się, jak umrę. Boli mię, tu.

GIANOZZI.

Przestanie, przestanie boléć! Jak się krew cokolwiek uspokoi, położę ci szarpie z łagodzącym balsamem.

FABIO.

I przestanie?

GIANOZZI.

Przyrzekam.

FABIO.

Dobrze robisz, że przyrzekasz; tym sposobem najlepiéj można oszukać. Wasze przyrzeczenia tak prawdziwe, jak obietnice ła-

dnych kobiét. Gdy ci lekarz mówi, że umrzesz, a kobiéta, że się mścić będzie — wtenczas tylko prawda. — Przeczytaj to, Gonzago.

(daje mu karteczkę).

GONZAGO.

„Pocałuj, Fabio, tę rękę, która ci to od-„da; i jeśli będziesz miał czas, wspomnij o „mnie" — Kto to pisał?

FABIO.

Na co ci to wiedziéć? — Wiedz tylko to, że im piękniejsza twarz, tém zimniejsza krew; im zimniejsza krew, tém pewniejsza ręka. A kobiéta, która ma piękną twarz, zimną krew i umié tak pisać, ma także długie szpony, które czasem chowa. Ale schwyć ją za rękę i ścisnij tak, a udrapie cię, jak kotka. — Dajcie mi wody, pali mię.

GONZAGO.

Lękam się o niego; on bredzi.

GIANOZZI.

Gorączka nieuchronna.

FABIO.

Było ich trzech. Jeden mi oddał jéj kar-

teczkę i swiécił. Zacząłem czytać — wtém światło zgasło i poczułem sztylet w boku. Gonzago! czym ich zabił wszystkich?

GONZAGO.

Wszyscy uciekli.

FABIO (*łupa nogą*).

Uciekli? — czy ja umrę?

GIANOZZI.

(*stanowczo i zimno*).

Jeśli się nie uspokoisz — umrzesz.

FABIO.

To będzie trzecie wielkie głupstwo, które zrobię. Piérwsze, żem się zakochał; drugie, żem sobie żartował z groźby obrażonéj kobiéty; a trzecie, że umrę — bez zemsty. Życia! życia mi dajcie choć na chwilę; siły choć na jeden cios dla niego; głosu choć na kilka słów dla niéj! Inaczéj powiém, że wasza sztuka tyle warta, co to złoto, które wychodzi z waszych tyglów. Nic do rzeczy wąsza sztuka, oszukaństwo, szalbierstwo, nic więcéj.

(*odrywa zawiązkę*).

Mnie boli; kładź balsam, stary!

GONZAGO.

Co ty robisz? Fabio!

FABIO. *(w obłąkaniu).*

Przeklęta Furyo! twoje oczy błyszczą jak brylanty — twoje usta tak różowe... Śliczna Furyo!... całuję twoję rękę.

(zrywa się).

Precz — precz!

(pada w krzesło).

GONZAGO.

Czy skonał?

GIANOZZI.

(patrzy puls).

Zemdlał. —

Akt Trzeci.

Akt III.

Scena piérwsza.

(*Wspaniały pokój Hrabiny Monti. Na prawo drzwi do jéj sypialni. Z lewéj strony spektatorów siedzi Dyana i szyje w krosnach. Klaudya obok niéj zamyślona i smutna*).

DYANA.

Klaudyo! długoż tak siedziéć będziesz zachmurzona?

KLAUDYA.

Dzieci tylko i pomięszani mają zawsze przyczynę być wesołemi, bo nie widzą, co się obok nich dzieje.

DYANA.

Nie tylkoś smutna, ale i zła.

KLAUDYA.

Mam powód do jednego i do drugiego.

(milczą).

DYANA *(po chwili).*

Ale jak długo Gianozzi bawi u Lucyi.

KLAUDYA.

Długo.

DYANA.

Dobry to starzec.

KLAUDYA.

Dobry.

DYANA.

Nieznośna dziś jesteś.

KLAUDYA.

Nieznośna.

DYANA.

Czy doprawdy kochałaś tak Fabia?

KLAUDYA.

(staje przed nią).

Twoja twarz, Dyano, gładka, jaśniejąca, usmiécha się całém niebem, jak zwierciadło jeziora, a przecież na dnie twego serca leży myśl ciężka jak kamień.

DYANA.

O! nie prawda.

KLAUDYA.

Ty możesz wszystko utaić. Moja natura inna — i dziękuję za to Bogu. Wesołość i smutek, miłość i nienawiść, rysują się na mojém licu wyraźnie i czytelnie. Może mi z tém gorzéj na swiecie niż tobie. Cóż czynić?! Ja twojego charakteru nie lubię i miećbym go nie chciała, nawet razem z twoją pięknością.

DYANA

Dziwaczko! łajesz mię za to, że moja twarz spokojna! czytaj w mém sercu— i tam pokój.

KLAUDYA.

O, tego nie uczynię.

DYANA

Czemu?

KLAUDYA.

Bobym cię znienawidziła.

(odstępuje od niéj).

DYANA.

Czy, za to, że ten biédny Fabio ścigał mię wszędzie? że patrzył na mnie melancholicz-

nie? że nie widział twoich wejrzeń i westchnień nie słyszał? Mojaż to wina że oni natrętni i głupi. — Ja żadnego z nich nie ciągnę.

KLAUDYA (*z gniewem*).

Kłamiesz, Dyano!

DYANA.

Jak cię ten gniew upięknia! Biédna Klaudyo! więc ty doprawdy myślałaś, żem ja nęciła Fabia?

KLAUDYA.

Nie potrzebuję myśléć i domyślać się kogo nęcisz, kiedy widzę. Złą drogę obrałaś, Dyano!

DYANA (*śmieje się*).

Morały!

KLAUDYA.

Nie śmiéj się i nie zapominaj, że tam jedna ofiara we łzach, a druga w grobie.

DYANA (*powstaje*).

To nadto.

KLAUDYA.

Tego chciałaś. Nie zachęcaj drugi raz nikogo, aby czytał w twojém sercu.

Dyana (*siada znowu*).

Nie zapomnę ci téj chwili.

Klaudya.

Wiém o tém i czekać nie będę przypomnienia.

(*wchodzi Hrabia Monti i Gonzago*).

Czy jest kto u mojéj żony?

Klaudya.

Gianozzi.

Hrabia.

Czy uspokoiła się?

Klaudya.

Przesiedzieliśmy przy niéj noc całą po kolei. Spała cokolwiek i dziś jest daleko spokojniejszą.

Hrabia (*bierze jéj rękę*).

Dziękuję ci, dobra Klaudyo! Twoja przyjaźń dla niéj zostanie na zawsze w mojéj pamięci. Gonzago! jak znajdujesz plan tych odmian, które zamierzam zrobić w pokojach Lucyi. Było to niegdyś jéj żądanie; są to własne jéj myśli, tylko w większym rozmiarze.

GONZAGO.

Rozpątrywałem plan z uwagą. Wszystko wspaniałe i piękne. Gust i okazałość podały sobie dłonie i nie odstępują się nigdzie na chwilę. A choć wydatki będą wielkie...

HRABIA.

O, nie myśl o tém, dobry Gonzago! Niczém są pieniądze w porównaniu z tą radością, jaką mi sprawi jéj podziwienie, gdy powróciwszy tu z Neapolu, dokąd się wkrótce udamy, znajdzie urzeczywistnione marzenia swoich chwil szczęśliwych. Dla tego, proszę was, nic nie mówcie Lucyi o moich zamiarach. Takie momenta niespodziewanych radości są najrzadsze i najmilsze w życiu. — Co to wyszywasz? Dyano!

DYANA.

Zasłonę do obrazu Matki Boskiéj uzdrawiającéj. Jest to votum.

HRABIA.

Dziękuję ci, Dyano! Domyślam się jaki cel téj ofiary. Czy to wespół z Klaudyą wyszywacie?

KLAUDYA (*prędko*).

Nie, Panie Hrabio! moje votum za wyzdrowienie twojéj żony jest tu.

(*kładzie rękę na sercu — i idzie ku drzwiom Lucyi*).

HRABIA.

Dowiedz się, Klaudyo, czy nie przeszkodzę.

(*Klaudya otwiera drzwi; wchodzi Lucya i Gianozzi, który niesie w ręku kubek*).

LUCYA.

Przychodzę do was, Leonardo! Tu mi będzie lepiéj i może odważniejsza będę. Zaczynam nie lubić mego pokoju. Zły to znak; wkrótce trzeba będzie przejść do innego mieszkania, do tego domu, którego sobie nikt sam nie buduje. Nie prawdaż? Gianozzi!

GIANOZZI.

Przeciwnie, Hrabino! jest to znak dobry, kiedy chory ucieka z łóżka.

HRABIA.

Jakże się czujesz? Lucyo! Twoje zdrowie całą Ferarę interesuje.

LUCYA.

Dziękuję ci, dziękuję wszystkim znajo-

mym moim miasta Ferary. Miło jest mieć szacunek ludzi dobrych, ale stokroć miléj, gdy jest i przekonanie, że zasłużony. To nie każdy posiada. Ty ieszcze tu? Dyano!

DYANA.

Kogoż bardziéj obchodzi twoje zdrowie? Hrabino!

LUCYA.

I życie, nie prawdaż? Czuwałaś do późna, a teraz znowu nad robotą. Nie czyń tego. Czuwanie i robota psują blask oczu. A szkoda ich, one tak piękne. *(siada).*

Gonzago! prawdaż to, że Fabio zabity?

GONZAGO.

Nie żyje, Hrabino! — Padł zacny młodzieniec pod sztyletami zbójców, zapłaconych ręką wroga, którego się domyśléć nie mógł.

LUCYA.

Czy widziałeś go przed skonaniem?

GONZAGO.

Przypadek przywiódł mię w to miejsce, gdzie leżał raniony, kazałem go podjąć, ale

ni moje starania, ni sztuka dobrego Gianozzi nic nie pomogła. Sztylet był zatruty.

KLAUDYA.

Ach! to okropnie! *(płacze)*.

LUCYA.

Okropnie, moja Klaudyo! — Ferara zaczyna być strasznêm miastem, Leonardo!

HRABIA.

Złe to powszechne. I w innych miastach naszych sztylety zaczynają igrać jak w Wenecyi.

LUCYA.

Proszę cię, Gonzago, każ we wszystkich kościołach odprawić mszą żałobną za pokój jego duszy.

GONZAGO.

Jużem to zrobił, Hrabino! Fabio umierając mianował mię swoim dziedzicem. Przyjaźń i wdzięczność połączyły się razem w modłach za jego pokój.

GIANOZZI.

(ukazując na kubek).

Cóż? Hrabino! już pora.

LUCYA.

Leonardo! oznaki twego przywiązania ożywiły mię. Zdaje mi się, że się mam lepiéj. Przecież Gianozzi prześladuje mię lekarstwem, którego skutek ma być niezawodny. Jakieś dziwne powątpiewanie w sztuce naszego dobrego Gianozzi opanowało mię, może to jest znak dobry. Wyzdrawiający mają zwykle wstręt do lekarstw. Leonardo! czy radzisz mi je przyjąć? (*patrzy mu w oczy*).

HRABIA (*zmięszany*).

Lucyo! Lucyo!

LUCYA.

Cóż, mój Leonardo! nie radzisz?

HRABIA.

Lekarz tak doświadczony... a potém, możeszże wątpić, żebym pragnął jak najprędzéj...

LUCYA.

Widzieć mię zupełnie wyleczoną z moich cierpień? O Leonardo! o tém ja nie wątpię. Tomaszu Gianozzi! dawaj lekarstwo. Teraz mam odwagę.

GIANOZZI.

Smak będzie nieprzyjemny.

LUCYA.

(*bierze z rąk lekarza flaszeczkę*).

Trochę za cierpki. Nie prawda? Leonardo!

HRABIA.

Nie znam się na tém.

LUCYA (*powstaje*).

Patrz, mój mężu! czy ci się nie zdarzyło widzieć gdzie takiego lekarstwa. Wybacz mi, Gianozzi! naturalna jest ufność żony w przenikliwości dobrego męża.

HRABIA.

Lucyo! obrażasz starca, który ci sprzyja.

GIANOZZI.

Bynajmniéj. Myśmy do tego przyzwyczajeni. Potém Hrabina będzie mi wdzięczną.

HRABIA (*drżącym głosem*).

I ja.

DYANA (*do siebie*).

On drży jak liść. Tu coś jest.

LUCYA.

Wieleż wlać potrzeba?

GIANOZZI.

Wszystko.

LUCYA.

Prawda. To lekarstwo daje się raz tylko. Nie tak że? Leonardo?

HRABIA.

Bierzesz mię za lekarza, Lucyo! jam nigdy nim nie był.

LUCYA.

Ale usłużyć mi możesz; z twoich rąk wszystko mi jest milsze. Wléj, Leonardo, wypiję.

(podaję mu kubek i flaszeczkę).

HRABIA.

Zrobiłaś się kaprysną, Lucyo!

DYANA.

To nie jest robota mężczyzn, Hrabino! Oni tak niezgrabni.

(bierze z jéj rąk lekarstwo i wlewa).

Oto masz, już gotowe.

HRABIA *(na stronie).*

O! męczarnio!

LUCYA.

Patrzcie z jaką odwagą wypijam.

(przychyla do ust kubek. Hrabia odwraca się — Gonzago patrzy na Dyanę, która się nie zmienia).

Odwracasz się, Leonardo! czym cię rozgniewała? *(do siebie).*

O mój Boże! więc to prawda!

(wypija prędko — upuszcza kubek i wysilona pada w krzesło).

DYANA *(na stronie).*

Na koniec!

(Hrabia odchodzi na bok i patrzy ponuro — Gonzago, Gianozzi i Klaudya otaczają Lucyą).

GIANOZZI.

Nic to, nic. — Chwilowe osłabienie.

KLAUDYA.

(odciąga Gonzaga na stronę).

Tu coś jest, Gonzago!

GONZAGO.

Nie wiém.

KLAUDYA.

Czy pewny jesteś tego starca?

GONZAGO.

(ruszając ramionami).

On lekarz, jak inni.

KLAUDYA.

Boże mój! drżę cała.

DYANA.

(przystępuje do Hrabiego).

Wstydź się, Leonardo!

HRABIA.

Precz — wychodź stąd.

DYANA.

Niewdzięczny!

(odstępuje na stronę).

LUCYA.

Gianozzi! twoje lekarstwo brzydkie! idź już sobie.

(Gianozzi schyliwszy głowę wychodzi).

I wy wszyscy idźcie — zostawcie nas.

KLAUDYA *(do Gonzaga).*

Gdzie Fabio pochowany?

GONZAGO.

Na cmentarzu Świętego Grzegorza.

KLAUDYA.

Jest jaki znak?

GONZAGO.

Biały krzyż — na nim jego imię.

KLAUDYA.

Dziękuję ci.

(wychodzą wszyscy prócz Hrabiego i Lucyi).

LUCYA.

(powstaje i przybliża się do męża).

Mężu! moje domysły okropne! *(pauza)* Potrafiłeś więc kupić sumienie tego niegodziwego starca! — *(po chwili)*

Popatrz mi w oczy, Leonardo!

(Hrabia podnosi obłąkany wzrok).

Otrułeś mię, zabójco! *(wychodzi).*

HRABIA.

(stoi w osłupieniu i powtarza machinalnie).

Zabójco! zabójco! —

DYANA.

(powraca i staje we drzwiach środkowych).

Leonardo!

HRABIA.

Kto mię woła? To ty? — Chodź tu.

DYANA *(wbiega).*

Tyś mój, Leonardo!

HRABIA.

Jeszcze nie; jeszcze moja dusza niegotowa; jeszcze nie dość ciężka — poczekaj niech umrze. *(ukazuje na drzwi pokoju żony — wybiega).*

DYANA.

(patrzy za nim wzgardliwie).

Niedołężny! *(wychodzi).*

Scena Druga.

(Galerya w domu Gonzaga. Fabio siedzi w krześle; przy nim stoi dwóch ludzi, którzy go przynieśli. — Gonzago wchodzi).

Fabio *(do sług).*

Idźcie sobie. *(słudzy wychodzą).* Gonzago! czy przykazałeś tym ludzióm milczenie?

Gonzago.

Milczenie przykazywać należy tylko wtenczas, gdy chcesz, aby się co rozgłosiło. Oni cię nie znają, to lepiéj.

Fabio.

Dziękuję ci, dobry Gonzago, że mi we wszystkiém pomagasz. Przyjaźń energicznego człowieka można zrównać tylko z nienawiścią kobiéty. Nie uwierzysz jak mi dobrze na tamtym świecie. Umarli szczęśliwi są doprawdy, gdyby tylko mogli znać swój stan błogi. *O! fortunatos nimium sua si bona norint!*

Gonzago.

Zwłaszcza gdyby mieli tak dobry apetyt

jak ty, i wyspawszy się smaczno obudzić się mogli. Powiedz mi, czy długo myślisz być umarłym?

FABIO.

Póki o mnie nie zapomną.

GONZAGO.

O! na to niewiele potrzeba czasu. Miłość i przyjaźń prędko sobie perswadują.

FABIO.

Nienawiść jadowitsza; głębiéj się wrzyna w serce i dłużéj pamięta. Prócz tego, jaż im przypominać się będę? i dla tego jestem umarłym. Tymczasem, dobry Gonzago, rozporządzaj mojém dziedzictwem, i zachowaj je od grabieży krewnych.

GONZAGO.

Upominają się.

FABIO.

Wierzę. Gdzie trup tam i kruki. Ale testament mój prawny zabezpiecza ciebie, a raczéj mnie samego.

GONZAGO.

Dziwny kaprys.

FABIO.

Nazwij to kaprysem, nazwij jak chcesz, a mnie z tym dobrze. Ta myśl cieszy mię i bawi; i proszę cię o zachowanie zupełnego sekretu. Głupia to zemsta za uderzenie sztyletu odpłacić sztyletem. Ale dręczyć ich długo, odnawiać w ich pamięci twarz swoję krwawą i bladą, odświeżać zacierające się swe imię w ich sercu, póki nie zeschnie, nie zwiędnie, póki nie zaczną wołać śmierci, aby ich od widoku własnéj zbrodni wyratowała: to dopiéro nazywam zemścić się. Dla takiéj roskoszy warto być czas niejaki nieboszczykiem. Ale coś tu zanadto chłodno. Wiatr zaostry przeciąga przez tę galeryą, każ mię zanieść nazad, — nie dobrze mi.

(*Gonzago klaszcze — słudzy wchodzą*).

Co mówił Gianozzi? prędkoż będę mógł wyjść?

GONZAGO.

Kazał ci się szanować. Inaczéj rana się odnowi i gorączka powróci. Ale otoż i on.

(*Gianozzi wchodzi i kiwa głową z nieukontentowaniem*).

GIANOZZI.

Któż to pozwolił?

FABIO.

Chciałem odetchnąć na świeżém powietrzu.

GIANOZZI.

Niepotrzebnie, niepotrzebnie! — odnieście go.

(*wynoszą go z krzesłem*).

FABIO.

Odwiedź mię, Gianozzi!

GIANOZZI.

Zaraz, zaraz przyjdę — Nieścież go.

(*wynoszą*).

GONZAGO.

(*z żywością przystępuje do niego*).

Cóż? Gianozzi!

GIANOZZI.

Już zasnęła. Przestrach powszechny ogarnął dom cały. Ludzie szepczą między sobą, ruszają ramionami. Cały dziedziniec pałacu pełen żebraków i xięży. Dziwią się, rozumują, żałują, jak kto wié i jak komu trzeba,

GONZAGO.

On był tam?

GIANOZZI.

Nieodstępnie. Drżący i blady prosił mię abym ją ratował. Gdy zamknęła oczy, gdym mu objawił, że niéma ratunku, wydał krzyk tak bolesny, żem się zdumiał, krew się we mnie ścięła na widok takiéj prawdy w udawaniu, takiéj doskonałości w zbrodni.

GONZAGO.

Mylisz się, Tomaszu Gianozzi! nie było to udawanie. Sumienie w nim krzyknęło; a jego głos nie kłamie. — Ale muszę pośpieszać i urządzić pogrzeb. — Długo jeszcze spać będzie?

GIANOZZI.

Jeszcze godzin dwanaście.

GONZAGO.

Dość czasu na wszystko — do widzenia.

(rozchodzą się).

Scena Trzecia.

(Miejsce otwarte — zdaleka widać Ferarę. Z lewéj strony gaj. Coraz ciemnieje i błyska; z początku rzadko, przy końcu sceny błyskawica silniejsza i grzmot częstszy).

(Lucya okryta wielkim domino, z nią Klaudya i Gonzago wychodzą z gaju).

GONZAGO.

Tu, między témi drzewami, Lucyo, zatrzymaj się, jeśli już koniecznie chcesz widzićć orszak pogrzebowy.

LUCYA.

Nie ciekaważ to rzecz widzićć swój własny pogrzeb? Nieprawdaż? Klaudyo! — Ale czegożeś ty taka smutna? wkrótce upatrzę sobie dom pobożny, w którym się zamknę i poświęcę Bogu. Wtenczas obowiązek twojéj przyjaźni skończy się i wrócisz na świat, którego ja nie żałuję.

KLAUDYA.

Nie o sobie myślę, Lucyo!

LUCYA.

Jeśli o mnie, toś powinna się weselić.

Dobry Gonzago! tą myślą zmyślonéj śmierci i skłonieniem mnie do jéj wykonania dałeś mi najwyższy dowód przyjaźni. Jam się zupełnie przerodziła tym twardym snem kilkunastu godzin. Pobożne hymny, które nademną spiéwano, ukrzepiły moje ciało i wyleczyły duszę z wielu słabości. Czy myślisz, że mnie jego miłość nie obrażała? że furya zazdrości nie szarpała mojego łona? O! mylisz się Klaudyo! — Bladą i spokojną była moja twarz; ale w sercu srożyła się nieraz burza gwałtowna. Uciszenie jéj, zamknięcie w sobie kosztowało mię wiele modłów, wiele walk, których nikt z was nie widział. Dziś jestem zupełnie spokojna; niech będą szczęśliwi, jeśli mogą. — Więc w Vale di Monti kazał mię pochować?

GONZAGO.

W grobie przodków.

LUCYA.

Byłam tam raz jeden. To głębokie i ciemne sklepienie, te grobowce po obu stronach, te trumny porozrzucane, nie przera-

żały mię wcale. Dziwiłam się wówczas, że to miejsce, gdziem miała spocząć na zawsze, nie zrobiło na mnie przykrego wrażenia. Było to przeczucie, że to nie był dom dla mnie.

GONZAGO.

Grzmi coraz silniéj i niebo grozi burzą. Odejdź Lucyo!

LUCYA.

O! ja lubię patrzéć na zagniewane niebo. W rzeczy saméj, pięknyż to będzie widok, gdy światła moich pochodni połączą się z błyskawicą, a muzyka, z którą mię prowadzą do grobu, z poważnym głosem chmur.

GONZAGO.

Jest tu o kilka kroków niewielka grota, gdzie możecie schronić się, jeśli się burza wzmoże, póki nie wrócę. Słychać już muzykę, — nadchodzą. Do widzenia się, dobra Lucyo! pośpieszę połączyć się z orszakiem.

(*odchodzi*).

(*grzmot i błyskawica*).

KLAUDYA.

Czy słyszysz? Lucyo! — schrońmy się.

LUCYA.

Czyż się ty boisz? Wszakześ ty spokojna i czysta. Inaczéj się zapewne ten głos odbije w sercu Leonarda. Chciałabym twarz jego obaczyć. Zostańmy.

KLAUDYA.

Nadchodzą. — Skryjmy się przynajmniéj między drzewami. (*usuwają się*).

(*Orszak pogrzebowy przeciąga w głębi teatru; na przodzie idą dziewice w bieli z czarnemi przepaskami; daléj różnego stanu kobiéty z czarnemi zasłonami i ze świécami w ręku; na ich czele Dyana. Trumnę niosą mężczyzni bogato ubrani, ale w czerni. Za nimi idą mnisi i tłum. Hrabia i Gonzago idą bliżéj spektatorów. — Muzyka, grzmot i błyskawica*).

HRABIA.

Gonzago! czy wszystko tam przygotowano? — ha! jak przeraźliwie błyska!

GONZAGO.

Wszystko na jéj przyjęcie gotowe. W grobie przodków twoich, Panie Hrabio, spokojnie i cicho leżéć będzie.

HRABIA.

(*odwraca się — do siebie*).

Spokojniéj niż ja na mojéj pościeli.

LUCYA.

Jaki on blady!

KLAUDYA.

Żałuj go.

LUCYA.

Człowiek obłąkany!

KLAUDYA.

Pocieszy go Dyana.

LUCYA.

Złośliwa!

HRABIA.

Idź, Gonzago, niech pośpieszają — burza się wzmaga — ja idę za wami.

(Gonzago się oddala za orszakiem, który przeszedł. Hrabia staje z prawéj strony oparty o drzewo — ciemno).

LUCYA.

Patrz, on teraz sam — Co za myśl! Chodź.

(odciąga Klaudyą za scenę).

(kilku ludzi z orszaku wraca śpiesznie nazad).

1szy.

Słyszysz Giuseppe! jak grzmi! Niebo wié dobrze, co się dzieje na ziemi i gniewa się.

2gi.

Przytnij sobie język i trzymaj go za zę-

bami. Djabłu się kłaniaj, z Panami nie żartuj, a będzie ci dobrze.

3ci.

Do domu, do domu i prędzej, bo przemokniem do nitki. Biédna ona! zdmuchnęli ją jak swiécę.

4ty.

Co prawda, to prawda — i mnie się to coś nienaturalném zdaje (*ogląda się*). Ale cicho! może tu w rzeczy saméj jest kto z orszaku. Chodźmy daléj, tam wam powiém co mi mówił oddźwierny Hrabiego.

5ty.

Powiedz oddźwiernemu, że on osieł, kiedy wpuścił śmierć.

1szy.

Jakże jéj nie miał wpuścić? Ona go odrwiła i wlazła oknem. Mówię wam żem słyszał ciekawe rzeczy (*grzmi*) brr! jakże się niebo rozigrało! — Chodźmy prędzéj. (*wychodzą*).

Hrabia.

Podły motłochu! kopyta moich koni obryzgują cię błotem, kiedy przejeżdżam uli-

cą; czapki twoje zlatują i spadają ku ziemi, gdy wychylę głowę; a gdy mię nie widzisz, żądłami swego sądu kaleczysz mię i ranisz! Zdajesz się głupim, a wzrok twój przenikliwy; kłaniasz się, a błędy i występki nasze wyrzucasz pod niebo; sam występny i nędzny, a niémasz miłosierdzia i przebaczać nie umiész! hydro stugłowa! już więc i na mnie syczéć zaczynasz? *(schyla głowę i zamyśla się).*

LUCYA.

(w bieli, z rozpuszczonemi włosami pokazuje się i woła).

Leonardo!

(miga się między drzewami i uchodzi).

HRABIA.

(przelękniony dostrzega znikającą Lucyą).

Kto tu?— jéj postać! jéj głos! — tam ją ponieśli, a ona tu?— dziwy! dziwy niepojęte!

(silny grzmot i błyskawica).

Ha! umilknij groźna burzo! nie zapytuj mię niebo swym straszliwym głosem, nieoświecaj tak głębi mego serca; ty wiész, jaki tam potwór leży.

(szybko wychodzi za orszakiem).

Akt Czwarty.

Akt IV.

Scena Piérwsza.

(Pokój Dyany. Dyana w czarném odzieniu siedzi zamyślona, po chwili wchodzi Hrabia i staje przed nią).

HRABIA.

Czego chciałaś odemnie?

DYANA.

Leonardo! zostawiasz grzesznicę z jéj myślami.

HRABIA.

Byłem z mojémi.

DYANA.

Pobladłeś, Leonardo!

HRABIA.

Czy cię to dziwi? — Nie sypiam.

DYANA.

Ach! jam ci sen odjęła! biada mi!

HRABIA.

Mężczyzna powinien wiedzieć czego chce; powinien znać swoję drogę i widzieć wszystkie jéj zakręty; powinien mieć dość mocy postępować po niéj prosto i śmiało. Jeśli się dał z niéj zepchnąć, jeśli potém obwinia nie swoję słabość, ale tę siłę, co go strąciła, podłym jest. Nie czyń sobie wyrzutów, Dyano! ja obwiniam — tylko siebie.

DYANA.

Była jednak chwila żeś mnie obwiniał. Przyznaję ci się, Leonardo, zdałeś mi się wówczas okrutnym i małym. Teraz widzę, żeś był tylko sprawiedliwym.

HRABIA.

Cierpiałem.

DYANA.

Cierpienie to złagodzi się, Leonardo! Zmieniac się będzie powoli i przejdzie!

Wszystko się zmienia i zaciera. Pamiętasz ty ten wieczór, gdy mię jeszcze okrywała żałoba po starym mężu. W roskosznéj alei twego ogrodu chodziliśmy długo. Niebo było ciche; na głębokim jego błękicie gwiazdy roiły się i błyskały; gaj pomarańczowy oddychał słodką wonią. Tyś mię zatrzymał, pokazał gwiazdę, która się iskrzyła przy pełnéj tarczy xiężyca, dla tego tylko, abym głowę podniosła, aby światło jego twarz moję oblało. Tak patrzałeś na mnie długo . . .

HRABIA.

Byłem odurzony.

DYANA.

Wówczas kochałeś mię (*kładzie obie ręce na jego ramionach*) kochaszże mię jeszcze? Leonardo!

HRABIA (*patrzy na nią coraz surowiéj*).

Zbrzydłaś.

(*odtrąca ją zlekka od siebie i wychodzi*).

DYANA (*po chwili*).

Czas jest to najlepszy wspólnik rozumnych ludzi, jeśli go do wykonania swych zamiarów ostróżnie i cierpliwie użyć umieją. (*wychodzi*).

Scena Druga.

(Sklepienie głębokie i ciemne. Po obu stronach stoją grobowce przodków Hrabiego. Na środku trumna Lucyi na niewielkiém podwyższeniu. Nad nią wisi lampa).

GONZAGO.

Kazał mi tu czekać na siebie. W jakimże celu chce odwiedzieć te groby swych przodków? Zmienił się — próżno stara się przełamywać głęboki smutek, który marszczy jego czoło i twarz bladością oblewa. Jestże lepszym niż rozumiałem? — To się pokaże. — Maska nie przyrasta do twarzy — podejmuje się nareszcie i spada.

(przybliża się do grobowca Lucyi i uderza ręką po trumnie).

Cóż ty biedaczko? Spisz spokojnie. Niespodziewałaś się leżéć w tak wspaniałym grobowcu. Życie twoje było pasmem biédy, łez i głodu. Byliby cię wrzucili do jamy w łachmanach i ledwie kilku żebraków byłoby poszło za twém ciałem. Przypadkiem okryto cię atłasem, oblepiono trumnę twą złotem, złożono krzyż brylantowy w twojém ręku; po-

łowa Ferary odprowadziła cię tu, gdzie przyjdzie wkrótce najmożniejszy Pan tego miasta może płakać nad tobą! Gdybyś była miała za życia, co posiadasz teraz, kto wié, byłabyś może do téj pory szczęśliwa, rumiana i zdrowa. — Ciebie nędza zabiła, a występek i rospusta wprowadziły cię po śmierci między bogaczów téj ziemi. — Dziwactwo losu!

HRABIA (*wchodzi*).

Jesteś? Gonzago!

GONZAGO.

Czekam cię, Hrabio!

HRABIA.

Gonzago! tyś człowiek doświadczony i rozsądny. Żyłeś długo na świecie, i żyłeś z okiem otwartém i trzezwém, nie jak my, cośmy po większéj części wpółsenni lub wpół pijani. Każdy dzień twego życia był nową kartą, z któréj uczyłeś się oceniać ludzi, ważyć ich postępki i zestosowywać to, czém się wydają, z tém, czém są rzeczywiście. Ciebie nic zadziwia wesołość głupca, podniesiona głowa bogacza, poważny krok pedanta i har-

da skromność wierszokletу. Ty słuchasz pobłażliwie dziejów miłości i nienawiści, kiedy inni udają surowych filozofów, i właśnie tacy, którzyby nie powinni podejmować kamienia i rzucać go na grzesznika. Bo ty, Gonzago, zastanawiałeś się nad życiem z powagą i rozumem; bo ty znasz siłę tych burz, które powstają czasem w sercu i słabość tego sternika, który kieruje nawą cnoty ludzkiéj, śród rozhukanych fal namiętności. Ja cię szacuję, Gonzago!

GONZAGO.

Panie Hrabio! te pochwały...

HRABIA.

Nie, przyjacielu! pochwały w tém miejscu i z ust moich byłyby niestosowne. W pałacach naszych, śród blasku życia i jego zwodnych nadziei, tam mieszka pochlebstwo. Tu dom śmierci; przez ten próg kłamstwo nie śmié przestąpić, i niéma po co — tu nie znajdzie zapłaty. Gonzago! tyś był przyjacielem naszego domu; jak skrzętna mrówka, tyś ciągle gromadził i znosił, com ja rozrzucał i

trwonił. Nie dla mnieś to robił; wiém o tém. Wszystkie te ofiary były dla niéj. Tyś ją kochał jak własne dziécko; a mnie — powiedz przyjacielu! czy ty mnie szacujesz?

GONZAGO.

Panie Hrabio! szacuję ten smutek, który widzę na twéj twarzy i słyszę w twym głosie. Sądzę, że jest prawdziwy.

HRABIA.

Tak sądzisz? — dziękuję ci. Tyś widział z bliska nasze życie, i mógłbyś sądzić przeciwnie. W ubogim stanie, mój Gonzago, małżeństwo ma więcéj świętości. Tam ono prawdziwie odpowiada swemu naznaczeniu. Tam praca jest celem życia; zgięty nad robotą biédak ciężko zarabia na kawałek chleba. Jakże mu szacowną jest towarzyszka, która bierze na siebie połowę jego trudu; która ociera pot z jego czoła; która z słodką pieszczotą rzuci czasem jaki kwiatek na jego drogę suchą i kamienistą. Z żelaznéj konieczności ukute obrączki ich łańcucha, z twardéj potrzeby utkana stuła, która krępuje ich

ręce do śmierci. My, Gonzago, żenimy się dla roskoszy, lub dla powiększenia jéj środków. Cóż dziwnego, że sytość następuje prędko; rozrasta się jak bujny chwast, i zalega tę ścieżkę, którą nam wytknęła powinność. Nie marszcz się, przyjacielu! — Nie dla tego to mówię, abym się starał uniewinniać moje zboczenia. Ja czuję ich ciężar. Byłem dla niéj twardym, cierpkim, okrutnym. Zanadto widocznie okazywałem jéj, że mi niepotrzebna. Z kim innym możeby była szczęśliwa; możeby była zdrowa, *(potłumionym głosem)* możeby nawet żyła dotąd.—Nieprawdaż? Gonzago!

GONZAGO.

Panie Hrabio! Z przymiotów ciała, z zalet duszy przyszły los dni naszych wyrachować się nie daje. Ona, naprzykład, miała wszystkie prawa do szczęścia, a przecież...

HRABIA.

Cóż? — Umarła za prędko? czyli to chciałeś powiedzieć?

GONZAGO.

Takie jest mniemanie, Panie Hrabio!

Hrabia.

Przebóg! nie nikłaż stopniami? Wszyscy widzieli jéj osłabienie, jéj lice blade, jéj krok chwiejący się. Wówczas nikt się nie dziwił. A gdy ją ujrzeli na katafalku, wtenczas zdało się każdemu, że młodość powinna ją była obronić od śmierci. Zaczęli się zadziwiać, ruszać ramionami, poglądać na siebie — jak gdyby to było coś nadzwyczajnego, że młoda kobiéta umarła; jak gdybyśmy nie widzieli codzień nóżek dziécka spętanych nagle więzami zgonu; rączek pietnastoletnich, któreby powinny brać szlubny wieniec, trzymających na piersiach bez oddechu krzyżyk blady i nieruchomy. — Gmin jest porywczym, Gonzago!

Gonzago.

Stoisz za wysoko, Panie Hrabio, abyś zwracał uwagę na sądy gminu.

Hrabia.

Nie zawsze można nim pogardzać. Przypadek i własna wina stawia nas często w takiém poniżeniu. Wówczas dziwne trwogi nas ota-

czają, wówczas każdy, co się do nas przybliża, zdaje się chcieć czytać na naszém czole, zdaje się wygrzebywać z piersi naszéj jakąś tajemnicę. — Są domysły, są podejrzenia, ja wiém, i ty wiész o tém dobrze.

GONZAGO.

Panie Hrabio!..

HRABIA *(przerywając)*.

Jest jeszcze jedna okoliczność, o któréj ci dotąd nie mówiłem. Pamiętasz ty dzień jéj pogrzebu? Czy przypominasz sobie, jakim surowym głosem i niebo do mnie przemawiało?

GONZAGO.

Przypadek, Panie Hrabio!

HRABIA.

Być może. Ale wówczas widziałem także.. ach! to już nie przypadek *(przybliża się.)* Powiedz mi, Gonzago! wierzyszli ty, że umarli mogą przybierać dawniejsze kształty i pokazywać się oczóm tych, których kochali lub nienawidzili, w postaci łaskawéj lub groźnéj?

GONZAGO.

Natura głęboka i tajemnicza; rozum nasz

widzi tylko jéj łupinę. Jakiż filozof ośmieli się zakréślić granicę jéj siłóm. Na to pytanie twoje, Panie Hrabio, odpowiedzieć nie mogę.

HRABIA.

Ja widziałem ją.

GONZAGO.

Kogo? Lucyę?

HRABIA.

Wtenczas kiedy już była zamknięta w téj trumnie. W białéj sukni, z rospuszczonemi włosami, z tą łagodną, chociaż strasznie bladą twarzą, mignęła mi się szybko i zawołała po imieniu.

GONZAGO.

Dziwne zdarzenie!

HRABIA.

Gonzago! nie śmiéj się ze mnie. Chcę się przekonać czy ona tu leży — otwórz.

GONZAGO.

Panie Hrabio! obaczysz widok, który cię gorzéj przerazi.

HRABIA.

Nie mam potrzeby siebie oszczędzać. Nie

iśmerć mię przerazi — jam mężczyzna. Ale na téj twarzy są może wypisane straszne słowa— nic nie znaczy, otwórz — ja czytam je i na twojém czole.

(*Gonzago otwiéra trumnę — Hrabia wstępuje na stopnie i nachyla się nad ciałem*).

Trup! trup! zimny, zmieniony. Zgnilizna już założyła w nim swój warsztat i zaraźliwym oddechem robotę swą objawia; robak wyłazi z jéj ust, podnosi ku mnie śmiałą głowę, jakby chciał bronić dziedzictwa swego.— Zamknij, Gonzago! zamknij.

(*Gonzago zakrywa trumnę*).

GONZAGO.

Pójdźmy ztąd Hrabio!

HRABIA.

Pójdźmy, pójdźmy. Tu strach mię przeszywa, i każdy włos na głowie mojéj podnosi. Zdaje mi się, że ze wszystkich grobów powstaną Ojcowie moi i śmierć jéj wyrzucać mi zaczną. Nie będę śmiał podnieść oczu na ich twarze poważne, na ich czoła poorane bliznami w szlachetnych bojach, ja, którym styrał swe życie na rospuście, które-

go największém dziełem— ta trumna. Precz ztąd — precz.

(*wychodzi — za nim po chwili Gonzago*).

Scena Trzecia.

(*Piękna okolica otoczona zielonemi wzgórzami. Na lewo mały wiejski domek, do którego przytyka altana okryta winogradowym liściem — Wszędzie pełno kwiatów.— Klaudya wchodzi z jednéj strony wyplatając słomiany kapelusz, Lucya wbiega z drugiéj strony i przynosi pęk róż polnych i innych kwiatków. Obie ubrane w prostych ale gustownych wiejskich strojach*).

LUCYA.

Patrz, co tu tego! ze wszystkich kątów pozbierałam je.

KLAUDYA.

Czy nie będzie nadto?

LUCYA.

O, nie! dla mnie ich nigdy nadto. Jak skąpiec pragnie coraz więcéj złota, tak ja pra-

gnę coraz więcéj zieloności kwiatów, powietrza, świéżego powietrza.

(rozgatunkowuje przyniesiony bukiet).

KLAUDYA.

To też za to rumieniec wystąpił na twarz twoję. Odmłodniałaś zupełnie.

LUCYA.

Nie prawdaż? jak na umarłą wyglądam dość dobrze. Co to za szczęście być zdrową, swobodną, wesołą; być zapomnianą i zapomniéć; ograniczyć swój świat kilku wzgórzami, które zamykają piękną, zieloną dolinę; mieć łąkę wesołą dla ucieszenia oka; rzeczkę czystą i czérstwą dla ochłody ciała; mieć domek cichy i przy nim gaj roskoszny, wonny, cienisty, gdzie chłod tak miły, gdzie drzewa tak słodko szumią, gdzie ptaki tak serdecznie świegocą!

KLAUDYA.

Zkąd się w tobie ta żywość wzięła? moja dobra Łucyo!

LUCYA.

Czyż ja żyłam, pókim żyła na świecie?

fe, z obrzydzeniem spominam ten czas pełen troski, pełen uczuć zjadliwych. Śmierć dała mi poznać życie: rozłączyła mię ze światem, który mię dręczył, a złączyła z naturą, co mię ożywia, co się dla mnie codzień stroi jak kochanka, co mię karmi, zdobi, orzeźwia jak matka.

KLAUDYA.

A klasztor? Lucyo!

LUCYA.

Nie, droga Klaudyo, o tém już wcale nie myślę. Czyż ta dolina nie jest klasztorem wspaniałym, czystym? Czy ja tu nie jestem kapłanką zasyłającą gorące modły do Stwórcy za to szczęście, którém mię otoczył: za przyjaźń twoję, za przyjaźń Gonzaga i dobrego starca Gianozzi? Czy my tu nie mamy swoich świąt, swoich uroczystości?.. Kiedy słońce wspaniale zachodzi, kiedy dészcz błogosławiony zleje dolinę i ubierze ją w brylanty rosy, jak ulubioną córkę do szlubu; kiedy nasi przyjaciele odwiedzają nas, cieszą się swojém dziełem, i u

nas zapominają o swoim świecie, jak się zapomina w dobrym porcie o burzach i nawałnicach. Za kraty klasztorów przedarła się próżność, zazdrość, nienawiść. Tu jest prawdziwy klasztór, tu innych namiętności niéma, oprócz wdzięczności i przyjaźni.

KLAUDYA.

Odkąd tu mieszkamy, jeszcze nam nic nie zakłóciło naszego pokoju.

LUCYA.

Bo tego tylko pragniemy, co nam dolina nasza dać może. Potrzebaż było umrzéć, żeby się nauczyć tak prostego sekretu. Ludzie z potrzebami swojémi cisną się do tych, co ich zaspokoić nie mogą. Proszą sąsiadów, kłaniają się możnym, padają na twarz u drzwi pałaców i zamków, a pomijają królowę, która ma wszystko, dla wszystkich — naturę, tę matkę bogatą, szczodrą, niewyczerpaną. Zapominają o tém, że czego matka dziécku nie da, tego cudzy pewnie nie dadzą. Sami sobie winni, że cierpią.

KLAUDYA.

Powiedz mi, Lucyo, czy ty myślisz czasem o Leonardzie?

LUCYA.

I bardzo często. Czasem go żałuję, rzadko obwiniam, a zawsze pragnę, aby był szczęśliwym. Ale nie mówmy o tém. Daj mi jeszcze kilka róż, Klaudyo!

KLAUDYA.

Jakaś smutna myśl przeszła ci przez głowę.

LUCYA.

Zgadłaś. Pomyślałam o twojéj przyszłości. Nie chciałabym, abyś się tu zestarzała ze mną. Mówiłam o tém z Gonzagiem. Odpowiedział mi, że ma nam wkrótce odkryć pewną tajemnicę, która nas mocno ucieszy. O! pewnie znajdzie dla ciebie męża, którego będziesz kochała. Jakbym była szczęśliwa!

KLAUDYA.

Zkądże ci się to wzięło? — Był człowiek, dla któregobym mogła znieść rozłączenie z tobą. On zimny, pod ziemią, i moje uczucia

nie ogrzeją się także. Miłości doznać już nie mogę; a jeśli mam zamienić przyjaźń za przyjaźń, wolę twoję, niż czyjąkolwiekbądź na świecie.

Lucya (*całuje ją w czoło*).

Dobra Klaudyo! ja przyjmuję tę obietnicę; ale wierz mi, nie mam jéj za uroczystą i nieodwołalną. Cicho! czy słyszysz? jakiś głos obcy.

Klaudya (*wstaje*).

To Gonzago.

Lucya.

Daj mi mój wieniec; ustroję się na jego przybycie (*kładzie wieniec*). Czy dobrze mi tak? Zapominam, że nie przystoi umarłym trzpiotać się. Ale on się ze mnie śmiać nie będzie, gdy mu powiém: patrz, Gonzago, jam zdrowa i szczęśliwa jak dziécko, i to twoje dzieło. Chodźmy powitać go.

(*biegnie, ciągnąc za sobą Klaudyą*).

Gonzago

(*wchodzi patrząc na nią z uśmiechem radości*).

Jakież to święto obchodzisz? Lucyo!

Lucya.

Pójdź, stary przyjacielu, przypatrz mi się.

Gonzago.

Dziwnie wypiękniałaś i żywe kolory z twojego wieńca spłynęły i na twarz twoję.

Lucya.

Nie dziw że się, że twoje przybycie, jest dla mnie świętém.

Gonzago (*bierze jéj obie ręce*).

Patrząc teraz na ciebie przypominam sobie te szczęśliwe dni, kiedyś w Rimini pod okiem matki wzrastała, igrała, swywoliła. Niedawno byłaś inszą.

Lucya.

Byłam leniwa i brzydka, jak poczwarka. Teraz tylko mi skrzydeł braknie i motyl gotowy.— Klaudyo! tyż dziś jesteś gospodynią, nie zapominaj, że gość nasz z podróży.

Gonzago.

Nie sam tu jestem, Lucyo! Przybył ze mną i nasz stary Gianozzi, który chce się z tobą pożegnać.

LUCYA.

Cóż to, wyjeżdża?— gdzież on?

GONZAGO.

Zatrzymał się u wchodu z towarzyszem swoim, dla którego prosi wstępu do téj szczęśliwéj doliny.

(Lucya pogląda na Klaudyą, która się rumieni. Gonzago uśmiécha się, dając znak porozumienia Lucyi).

LUCYA.

Któż jest ten towarzysz?

GONZAGO.

Jest to jeden z owych uczonych, którzy chodzą po świecie i szukają wielkiego sekretu. Znajdują czasem to, czego nie szukali; psują złoto, chcąc go ludzióm dać więcéj; w gwiazdach czytają przeznaczenie, i wywołują w tajemnicze źwierciadło lica umarłych, których pragną widziéć żywi.

LUCYA.

O prędzéj, prędzéj niech przyjdzie.

(Gonzago usuwa się za scenę, — Lucya zdejmuje wieniec).

Poproszę go, żeby mi pokazał moję matkę. A ty, Klaudyo, kogoż zechcesz obaczyć?— milczysz?— biédna Klaudyo!

Klaudya (*z westchnieniem*).

Nekromancya jest bałamuctwem.

(*wchodzi Gonzago, Gianozzi i Fabio, w długim szarym płaszczu z brodą*).

Cóż to za dziwaczne stworzenie! Niepotrzebnie tu przychodzi. Nie lubię nowych gości; oni mogą nasz pokój pomięszać.

Lucya.

Nie bój się, wszak to nie rycerz — to uczony. — Cóż to ja słyszę, dobry Gianozzi! Opuszczasz Ferarę, gdzie tyle lat przeżyłeś?

Gianozzi.

Spotkała mię cześć, dobra Pani, wyższa nad moję zasługę. Jestem powołany do Padwy.

Lucya.

Czyni to honor Akademji, że ciebie zażądała mieć w swém gronie. Ale jakaż to strata dla mnie?

Gianozzi.

Pókiś była w moim ręku, byłaś chorą; gdyś się oddała w ręce natury, rumieniec zakwitł na twojém licu i głos twój dzwoni czystym dźwiękiem zdrowia i wesela. Jam ci

niepotrzebny, Lucyo! Pozwól mi jednak polecić ci towarzysza, który może w jakim przypadku...

FABIO (*kłania się*).

Antonio Caloi, *scholasticus vagans*.

LUCYA.

Antonio Caloi! mówią, że umiész w gwiazdach czytać przeznaczenie tych, których przyszłość interesuje.

FABIO.

Każda istota stworzona ma swoje astrum, które jest symbolem jéj działalności. Jestto wypływ bóstwa, który jak nić tajemna łączy i obwija całą naturę.

GIANOZZI (*cicho*).

Bredzisz, Fabio!

LUCYA.

Musi to być uczone, co mówisz, chociażem ja dobrze tego nie pojęła.

FABIO (*na stronie*).

Żebym to ja sam rozumiał?

LUCYA.

Antonio Caloi! przyszłość mię nie obcho-

dzi. Szczególném zdarzeniem już w niéj żyję i w losie moim nic się zmienić nie może. Ale obie, z przyjaciółką moją Klaudyą mamy umarłych, którzy nas interesują. Słyszałam, że możesz w magiczném źwierciedle pokazać nam twarz tych, których kochałyśmy niegdyś.

F a b i o

(*wydobywa stalowe źwierciadło*).

Oto jest to cudowne narzędzie, w które trzeba patrzéć z wiarą i miłością.

L u c y a.

Klaudya nazywa nekromancyą bałamuctwem.

F a b i o.

Bałamuctwem jest każda nauka w nieumiejętnych rękach. Moja nauka ma swoję głęboką zasadę. W naturze niéma nic umarłego. Wszystko jest organiczne i żyjące (*Gianozzi wrzusza ramionami*). I dla tego świat ukazuje się jako wielka istota żyjąca. My go nazywamy ζώον (*zoon*). Niéma więc śmierci w naturze, bo ζωή (*zoe*) jest życie (*Gianozzi bierze się za głowę*). To, co

się nam nią być zdaje, jest tylko powrótem dzieci do łona matki. Jeżeli więc my pozostali jeszcze na ziemi, zawołamy na tych, którzy ją opuścili, ci szczęśliwsi od nas bracia i siostry nasze odrywają się na chwilę od macierzyńskiéj piersi i spoglądają raz jeszcze na nas z uśmiechem pełnym nadziei. (*do Klaudyi*). Nie chceszże, piękna Pani, doświadczyć?

(*daje jéj źwierciadło*).

KLAUDYA.

Mówiłeś, że trzeba wiary, a ja jéj nie mam. Ja wierzę w śmierć.

FABIO.

Znam ja się na tém, piękna Klaudyo! głos twój drży — już wiara przybywa. Zamknijże oczy, przyłóż twarz do tego źwierciadła i myśl o tym, kogo chcesz obaczyć. Ale nie odrywaj go przed czasem. Na miłość boską nie śmiéj w nie spójrzéć, póki ci nie dam znaku i nie dotknę twego ramienia. Zgubném byłoby to nieposłuszeństwo. Mogłabyś obaczyć straszliwą twarz, jeszcze niedokształ-

coną, na któréj widok skrzepłaby krew w twoich żyłach.

KLAUDYA.

Dawaj.

(*zamyka oczy i drżąc przykłada twarz do źwierciadła*).

LUCYA (*cicho*).

Gonzago! co to za bałamut?

GONZAGO.

To Fabio, który był raniony, wyzdrowiał i udaje w Ferarze umarłego.

LUCYA.

Więc to to twój sekret? O jakżem szczęśliwa.— Potém wszystko mi opowiész.

(*daje znak — Fabio, który zrzucił płaszcz i brodę przystępuje do Lucyi i całuje jéj rękę — Ona go skłania jestami, żeby prędzéj stawał za Klaudyą*).

FABIO

(*przystępuje cicho do Klaudyi*).

Hyliastrze umarłego! oddziel się od wielkiéj twéj całości i przybierz tę formę, któręś dawniéj ożywiał, wzywam cię potrzykroć; wzywam cię, wzywam, wystąp!

(*uderza Klaudyą po ramieniu; ona spogląda i postrzegłszy Fabia, wydaje krzyk, rzuca źwierciadło i płacząc kryje twarz swoję na piersiach Lucyi*).

FABIO

(*klęka i bierze jéj rękę*).

O dobra i piękna Klaudyo! więc to mnie chciałaś widzieć? — Ja żyję, żyję Klaudyo, ale żyję tylko połową życia, póki ty nie spójrzysz na mnie łaskawie i nie dopełnisz drugiéj połowy swoją miłością.

KLAUDYA.

O BOŻE! co ja słyszę!

FABIO.

Byłem raniony. Ten sęp-gołębica, ten szatan-anioł, który odurzył moje oczy, nasłał na mnie zbójców. Uleczony powstałem z ran moich, uleczony na duszy i na ciele. Przebacz mi, żem przez niejaki czas był ślepym.

KLAUDYA.

Fabio! ja Lucyi odstąpić nie mogę.

LUCYA.

Nie wierz temu.

KLAUDYA.

Fabio! jam szczęśliwa w téj chwili. Czy dość ci na tém?

(*Fabio zrywa się i całuje jéj ręce*).

Lucya (*ściska ją*).

Los wasz do mnie należy; i co postanowię, tego nikt nie odmieni. Umarły między żywemi jest najstarszym. Przed umarłym żebrakiem i królowie czapki zdejmują. Oto twoja żona, Fabio!— tak rozkazuję.

Klaudya

(*uśmiéchając się podaje mu rękę*).

Przywykłam ci być posłuszną— Ale mam że cię odstąpić?

Lucya (*smutno*).

Nie myślcie o mnie.— Gonzago! powiedz, co się dzieje na naszym świecie? co robi Leonardo?

Gonzago.

Miał chwile srogich wyrzutów. Widziałem go upokorzonym, wpółprzyznającym się do winy. Stopniami ostrza zgryzoty zaczęły tępiéć; a przynajmniéj pierś jego przywykała do bolu, który dają. Czy dla odurzenia siebie, czy, że wszelkie niebezpieczeństwa i hazardy miłe są ludzióm, których dusza cierpi, probuje łask fortuny i przegrywa wielkie

summy. Widziałem go kilka razy pijanym. Z dzikiém wejrzeniem, z jakąś szczególniejszą i pełną rospaczy energią, kazał sobie nalewać puhar. Uczty głośne zaczynają się rozlegać po salach pałacu Monti. A jednak widok jego jest często strasznym. Postawa dumna i okazała, rysy pełne szlachetności zostały; ale jest to dom, którego tylko zewnętrzne ściany stoją nietknięte. W oknach niéma życia; z nich nie wygląda wesele i radość. On wewnątrz wygorzały i pusty— i mieszkańcami jego są tylko gady i gorzki piołun.

Lucya (*ocierając łzy*).

O dobry Gianozzi! że też w waszéj filozofji niéma lekarstwa na taką chorobę.

Gianozzi.

W filozofji, dobra Pani, niéma.

Lucya.

Chciałabym go widziéć raz jeszcze.

Gonzago.

Uczyń to, dobra Lucyo, podaj rękę téj upadającéj duszy.

Lucya.

Ale jakże?

Gonzago.

Jutro ogród wasz jaśnieć będzie tysiącem świateł. Z całego miasta maski w nim się zbiorą.

Lucya.

Ha! dobrze — obaczę go, obaczę. Fabio! czy już wróciłeś zupełnie do życia?

Fabio *(bierze rękę Klaudyi).*

W téj dolinie tylko żyję zupełnie. W Ferarze jestem umarłym, i umarłym będę póty, póki nie znajdę zręczności zemścić się nad zabójczynią.

Lucya.

Będziesz mi towarzyszył, Fabio! Pójdziemy razem, chociaż cele nasze tak różne.— Gospodyni! bądźże grzeczną! Tyś szczęśliwa, a my głodni— pomyślże i o nas. Pójdzcie, moi mili goście! Gianozzi podaj mi rękę, może się nieprędko obaczémy.

(wychodzą).

Akt Piąty.

Akt V.

Scena piérwsza.

(Miejsce jak w piérwszym Akcie. Pałac oświecony i ogród w głębi illuminowany — z przodu ciemno. Hrabia i Dyana występują bez masek).

DYANA.

Jakże się cieszę, dobry Leonardo, żeś mi pozwolił rozweselić siebie tém zgromadzeniem. Twój smutek, twój dziwaczny humor zabijał mię; a co gorsza dawał powód do domysłów i podejrzeń...

HRABIA.

Do jakich? czyż smutek w kilka miesięcy po stracie żony może dawać powód do domysłów i podejrzeń? Osobliwsze to miasto Fe-

rara! moja wesołość ją zadziwia, mój smutek wydaje się jéj podejrzanym. Wszystko w jéj oczach nienaturalne— oprócz uczty. Co mi tam do tego, co mówią, kiedyś ty tak piękna! *(bierze jéj rękę).* Głosy ludzkie tyle znaczą, co szum drzew, które nas otaczają. Przeszkadzająż mi one ściskać tę śliczną rączkę, chociaż ich listki szepczą wyraźnie, że kilka miesięcy temu, w téj saméj rączce była— trucizna. *(opuszcza jéj rękę).*

DYANA.

Leonardo! Leonardo! nie przestaniesz nigdy?

HRABIA.

Co? kochać ciebie? *(przygląda się jéj)* Widziałaś się ty dziś w źwierciedle? Czy ty wiész, że sam twój widok może całą przeszłość, jak pustą mgłę rozwiać. Niech żyje chwila teraźniejsza! ja lubię patrzéć na twoję kibić i pożerać wzrokiem jéj kształty. Lubię widziéć, jak radość jaśnieje w twoich oczach, jak miłość igra w twojém licu wszystkiemi kolorami roskoszy. Szczęśliwy jestem, gdy cię wi-

dzę unoszącą się w lubieżnym tańcu; gdy twoja suknia szeleści w uszach moich; gdy mię owiewa woń twoich włosów i mięsza się z balsamem twego oddechu. Co mi do trupa, który tam zamknięty leży pod ciężkiém sklepieniem — ja będę rad, będę wesół, choćby cały świat krzyczał mi w uszy, żem ja w niém zaszczepił zgniliznę, że moja ręka posiała w niém robactwo. Idź, idź, baw twoich gości, śliczna Dyano! a mniejsza o to, co mówić będą — myśmy szczęśliwi, nie prawdaż?... ha! ha! ha! i jak jeszcze — tylko wina mi dajcie — wina tu!

(*Gonzago wchodzi i patrzy nań surowo — Hrabia spuszcza oczy i usuwa się na stronę*).

DYANA.

Dobry Gonzago! nie odstępuj go — on rozum traci. O! ja nieszczęśliwa! (*odchodzi*).

GONZAGO.

Nie tyle, ileś zasłużyła.

(*Rozmaite maski, w różnych grupach schodzą się — rozmawiają z sobą, drażnią się nawzajem, piszczą i t. d. — Hrabia po chwili przystępuje do Gonzaga stojącego zprzodu sceny*).

Hrabia.

Cały świat, Gonzago, jest maskaradą. Tajemnica, fałsz i udawanie są to sprężyny naszego życia i zasady naszego pokoju. Gdybyśmy wszyscy zdjęli nasze larwy, społeczność pękłaby, jak bańka mydlana. Żona umarłaby, obaczywszy serce męża; ojciec wydziedziczyłby syna, matka przeklęłaby córkę. Czémże jest pokora proszącego? czém są obietnice możnych? czém gorliwość stróża praw? czém żal dziedziców?— wszystko to są maski. My udajemy, że im wierzymy; nikt z nas nie sięgnie ręką aby je zedrzéć, bo nam fałsz potrzebny; bo się boimy téj prawdziwéj twarzy, któraby może rozbiła w proch całe nasze szczęście. Jedna jest tylko twarz prawdziwa, to jest twarz trupa. W niéj to czytamy prawdę straszną; i dla tego niéma duszy tak silnéj, któraby nie zadrżała w téj chwili, kiedy ręka dotyka zimnéj ręki umarłego, która nie może uścisnąć fałszywą przyjaźnią, kiedy oko spoczywa na ustach bladych i zamkniętych, które nie mogą się uśmiéchnąć kłamliwą mi-

łością. Ja nienawidzę ludzkiego oblicza, Gonzago, i dla tego lubię patrzéć na te potwory nieforemne i dziwaczne, bo mi przynajmniéj zakrywają owe potwory foremniejsze, które natura urobiła dla prawdy, a które społeczność umazała różnemi farbami kłamstwa i hipokryzji.

(rozmaite maski przechodząc, kłaniają się Hrabiemu. Między nimi Lucya, jak pielgrzymka, przypatruje mu się).

Czego mi się tak przypatrujesz? pielgrzymko!

LUCYA.

Nie wesołyś, Hrabio! Czy prędko się ożenisz? — Ja idę do Loretu; za kogoż mi polecisz odmówić *requiem*.

(Hrabia odwraca się i wychodzi).

Za nadtom go boleśnie ukłóła.

GONZAGO.

Nie odstępuj go, Lucyo!

LUCYA.

Bądź blisko przy mnie, proszę cię.

(Lucya wychodzi, Gonzago za nią — z przeciwnéj strony pokazuje się Dyana, którą okrążają różne maski, kłaniając się, drażniąc i t. d. Obok niéj Fabio zgarbiony postępuje drżącym krokiem. Broda biała, płaszcz czarny, w jednéj ręce laska, pod pachą wielka xięga).

D Y A N A

(uwolniwszy się od masek, które się rozchodzą).

Mądrze mówisz, uczony starcze! musiałeś wiele widziéć na ziemi.

F A B I O *(drżącym głosem).*

Czémże jest mądrość w porównaniu z pięknością!

D Y A N A.

Więc sprzykrzyła ci się mądrość?

F A B I O.

Kopeć lampy, przy któréj pracujemy, na niéj osiadł; przybił ją pył starych szpargałów naszych; ona zwiędła, jak pergamin, zatęchła, jak powietrze ciasnych izb naszych.

D Y A N A.

A piękność?

F A B I O.

Jéj oczy tak czyste, jak niebo, kolor jéj lica tak puszysty i miękki, jak zwoje róży; oddech jéj tak młody i świeży, jak oddech ranku na wiosnę.

D Y A N A.

Musiałeś być Poetą.

FABIO.

Kto na ciebie patrzy, każdy jest poetą.

DYANA.

Wieleż masz lat? staruszku!

FABIO.

Miałem kiedyś lat sto.

DYANA.

O, nie prawda: tyś mędrzec, a ja czarownica. Gdybym chciała, mogłabym cię odmłodzić.

FABIO.

Twoje czary mogą odmłodzić każdego. *(podnosi się, groźnym głosem)*. Ale nie trupa, grzesznico! *(oddala się)*.

DYANA.

Kto ty jesteś?

FABIO.

Dowiesz się dziś jeszcze.

(szybko wychodzi).

DYANA *(zmięszana)*.

Co to jest? co to jest? — dziwny jakiś głos *(zamyśla się — po chwili)*. Głupstwo! to być nic może. Muszę jednak dowiedzieć się kto ten

starzec. Przepraszam, przepraszam piękny młodzieńcze nie mogę tańcować *(wybiega)*.

(Maski rozchodzą się w różne ulice ogrodu i do sali — Lucya w masce wchodzi szybko, za nią Hrabia).

HRABIA.

Kto jesteś? pielgrzymko! czekaj. Twój głos tak mi znajomy, tak mię głęboko przenika, że cię muszę obaczyć.

LUCYA *(zatrzymuje się)*.

Czas na modlitwę, Leonardo! — Gwiazdy bledną, niebo bieleje, nie mogę tu zostać dłużéj — Na modlitwę — puszczaj mnie.

HRABIA.

Nie, pielgrzymko! nie uchodź. Dziwna jakaś moc prowadzi mię za tobą. Kilku słowami obudziłaś w mojéj duszy takie wspomnienia, na których sam obraz truchleję. Muszę cię obaczyć, choćbym miał zedrzéć z twéj twarzy tę zaklętą maskę, któréj przeniknąć nie mogę.

LUCYA.

Idź się modlić, Leonardo! tyś nieszczęśliwy. Na stopniach ołtarza czeka cię pociecha i przebaczenie.

HRABIA.

(chce ją wziąść za rękę).

Ktoś ty? przebóg!

LUCYA.

(odpycha jego rękę).

Precz, nieszczęsny!

(Zdejmuje maskę i pokazuje blade lice i wpółzamknięte oczy. Leonardo cofa się przerażony i pada bez zmysłów. Lucya przelękniona zakrywa się i ucieka).

KILKA MASEK *(wbiega).*

Co to? Co to? ratujcie! ratujcie!

INNE MASKI *(zbiegają się).*

Wody! wody! Hrabia bez życia.

GONZAGO.

(staje przy Leonardzie).

Odstąpcie! – Proszę was, moi Panowie, idźcie już sobie do domu.

MASKI.

Już pora, chodźmy.

INNE MASKI.

W rzeczy saméj już późno — chódźmy.

INNY.

Czy wiécie? — to rzecz szczególna . . .

(odchodzą z rozmaitemi jestami).

(Gonzago podejmuje przychodzącego do siebie Hrabiego).

HRABIA.

To ty! Gonzago? *(ogląda się wokoło)* Gwiazdy nikną, niebo bieleje — już musi być kościół który otwarty. Zaprowadź mię tam, Gonzago! powiém ci wszystko. *(wychodzą).*

Scena druga.

(Pokój Dyany — wchodzi Fabio w masce i Dominika.

FABIO.

(daje jéj pieniądze).

Oto masz jeszcze. Siadaj tu i śpij jak zaklęta. Jeśli się ruszysz, jeśli wydasz mój sekret, pierwéj nim ci każę — zabiję cię.

DOMINIKA. *(bierze pieniądze).*

Na cóż te groźby? róbcie sobie co się wam podoba; będę milczała jak posąg Śtéj Barbary.

FABIO.

Cicho! siadaj i spać. *(chowa się za firankę.)*

DYANA.

(*wchodzi spiewając Barkarolę*).

Co za szczególne zdarzenie! On zemdlał i nikt nie wié dla czego. Któż owa pielgrzymka, za którą tak ścigał? znikła i nikt jéj potém odszukać nie mógł. I mój stary mędrzec przepadł? — nie pojmuję, nie pojmuję (*ziewa*). Ah! jak mi się spać chce. Cóż to, czy wszyscy wymarli w tym domu? Dominika! Dominika! (*postrzega spiącą*) szczególny sen! Dominika! nie rozbudziszże się dzisiaj! (*patrzy w lustro*).

FABIO (*występuje*).

Nie twój głos rozbudzić ją zdoła.

DYANA.

Ha! jak tu wszedłeś? Co za zuchwalstwo!

FABIO.

Obiecałem ci, że się dowiész, kto jestem.

DYANA

Nie żądałam tego, — wyjdź, lub wezwę pomocy.

FABIO.

Napróżno.

DYANA.

(*bieży i szarpie Dominikę*).

Dominika! przeklęta dziewczyna! śpi jak drzewo, jak kamień! — Boże mój! czy to sen?

(*przeciera oczy*).

FABIO.

(*zrzuca płaszcz i maskę i staje przed nią blady i zakrwawiony*).

Nie sen, grzesznico! Spójrzyj tu, czy znasz mię?

(*Dyana podnosi głowę — przerażona i drżąca przypada na kolana przy krześle Dominiki*).

Pobladłaś, zbójczynio! oczy twe nieruchome patrzą na mój wzrok wygasły, na tę krew, która bryznęła pod twoim sztyletem i z pamięci twojéj nie zniknie.

DYANA.

Zlituj się nademną — odejdź! — Oh! nie patrz tak groźnie. Moje serce zastyga pod twoim wzrokiem.

FABIO.

I moje zastygło pod twojém żelazem.

DYANA.

Jam winna! — pójdę do klasztoru; modlić się będę dzień i noc za pokój twéj duszy — tylko odejdź.

FABIO

Nie, Dyano!— ty należysz do mnie. Związek nasz umocniony krwią i żelazem. Powstańże oblubienico moja! Pójdź w moje objęcia!

DYANA.

Och! och! (*powstaje i usuwa się*).

FABIO.

(*idzie ku niéj z wyciągniętemi rękami*).

Nie ociągaj się, Dyano! już twój czas przyszedł.

(*Dyana nieprzytomna sobie usuwa się ku drzwiom bocznym i pada za scenę — Fabio patrzy za nią — do Dominiki*).

Idź, oblej ją wodą i milcz jak mogiła.

(*bierze płaszcz, maskę i wychodzi*).

DOMINIKA.

Myślałam z początku że się śmiać będę, a zimny pot mię oblał. Cóż jeśliby prawdziwego ducha obaczyć— (*ogląda się*). Ach! (*ucieka*).

Scena trzecia.

(Miejsce jak w scenie trzeciéj Aktu III).

(Gonzago i Gianozzi występują. Oba po podróżnemu).

GIANOZZI.

Żal mi go doprawdy.

GONZAGO.

Dla czegoż go żałujesz? on teraz szczęśliwy. W pokorze swojéj spokojny, w pokucie ożywiony nadzieją przebaczenia.

GIANOZZI.

I tu, w téj grocie osiadł?

GONZAGO.

Wspaniały pałać swój kazał przedać i bogatemi funduszami obdarzył klasztory. Ubodzy otrzymali część najznaczniejszą. Okryty twardą włosiennicą, z obnażoną głową, boso wyszedł z tego domu zbytku, swietności i występku. Tu mieszka teraz skromny i cichy. Czasem odwiedzam go rano, gdy słońce tylko co pozłaca brzegi horyzontu. Już zastaję go na kolanach. Gdy skończy modlitwę, rozmawia

spokojnie, i niekiedy wzrusza mię do głębi duszy swojemi słowy.

GIANOZZI.

Wspomina o Lucyi?

GONZAGO.

Często. Nazywa ją kobiétą świętą. Rozpamiętuje jéj cnoty; przyznaje się do wszystkich zboczeń, które zatruły jéj życie; i z nachyloną głową, z ręką na piersiach przypisuje sobie jéj śmierć.

GIANOZZI.

O Dyanie nie wspomina?

GONZAGO.

Nigdy.

GIANOZZI.

I nie wié o tém że wstąpiła do klasztoru?

GONZAGO.

Może i wié, ale przynajmniéj żadnéj o tém nie czyni wzmianki.

GIANOZZI.

Nakoniec Duch wziął przewagę nad ciałem. Silne uderzenia krwi złagodził ten wielki regulator, i przyprowadził do harmonji. Niech

będą Bogu dzięki. Życzę ci szczęścia Gonzago — bądź zdrów -- mnie tam w Padwie oczekują — jadę.

GONZAGO.

Tak więc nieprędko się obaczemy?

GIANOZZI.

W naszym wieku rozdział bywa zwykle dłuższy niż się spodziewamy.

GONZAGO.

Byłeś wiernym przyjacielem, dobroczynnym lekarzem, głębokim w swojém laboratoryum i dziéckiem na świecie — Cześć ci, zacny mężu! taką pamięć zostawiłeś po sobie w Ferarze.

(podają sobie ręce — Gianozzi wychodzi).

(Hrabia wychodzi z gaju we włosiennicy, z odkrytą głową i boso).

HRABIA.

Kto tu z tobą rozmawiał? Gonzago!

GONZAGO.

Gianozzi — udał się do Padwy.

HRABIA.

Żal mi że go już więcéj nie obaczę. Chciałbym skłonić swą głowę do jego kolan i pro-

sić o przebaczenie. Jam obciążył jego duszę śmiertelnym grzechem. Jam stanął przed nim jak szatan kusiciel ze złotem i trucizną. Gdyby nie ja, jego dni przeszłyby w pokoju i cichości. Czytałby sobie spokojnie stare xięgi, marzyłby o złocie, którego nigdy nie znajdzie i byłby został niewinnym jak niemowlę. Jam błysnął przed nim prawdziwém złotem, i zrobiłem go — zabójcą. Jego nocy muszą być okropne. Czy uważałeś go dobrze? Gonzago!

GONZAGO.

On zdaje się dość spokojnym.

HRABIA.

Nie wierz temu. Niéma pokoju w przymierzu ze złym duchem. Niéma snu, kiedy zbrodnia stoi przy łożu twojém i zaledwie przymkniesz powieki, szarpie za poduszkę i zagląda ci w oczy, zgrzytając zębami. On udaje spokojnego przed ludźmi, bo wié że cały ciężar ich sądu spadł na mnie. Ale gdy jest sam na sam ze swą duszą, o! wtenczas musi czuć to co i ja, bo prawa natury są jedne.

Nie może człowiek bezkarnie naruszać swojéj godności i kalać tego nieśmiertelnego ducha, który w nim mieszka. Onby powinien pokutować.

Gonzago.

Czy ci teraz lżéj? Leonardo!

Hrabia.

Gdy z wieczora długo klęczę przy swéj pościeli i modlę się, zdaje mi się że duszy mojéj wyrastają skrzydła, na których ona wznosi się wysoko. Ja ze złożonemi rękami, z podniesioną głową patrzę za nią, śledzę jéj lot wzniosły i lekki — i wtenczas stan mój jest błogi. Czy to sen, czy czuwanie, nie wiém; ale nie rad jestem gdy się kończy; bo niekiedy ta istota nie cielesna przybiera twarz Lucyi, słodko się do mnie uśmiécha i do siebie przyzywa.

Gonzago.

Dawnoż płakałeś? Leonardo!

Hrabia.

O przyjacielu! nie często się to szczęście zdarza takiemu jak ja człowiekowi. Pókim

był bogatym, oprawiałem w złoto, perły i brylanty i rozdawałem moim kochankóm. Ileż pereł i brylantów oddałbym dziś za każdą łzę, która się wyciska z mojego oka. — Nie, przyjacielu! dawno nie płakałem.

GONZAGO.

Nie naprzykrza ci się tu motłoch? Leonardo?

HRABIA.

Nie nazywaj tych dobrych ludzi tak wzgardliwym wyrazem; oni na to nie zasługują. Nie uwierzysz jak są miłosierni i ludzcy. Gdy tu siedzę na téj ławeczce, a oni przechodzą drogą, chciałbym aby mię ich wzrok upokorzył, aby mię lżyli słowami, aby, nazywając mię zabójcą, pluli mi na twarz i odwracali się ze wstrętem. Cóż myślisz? zamiast szyderskiego uśmiechu, postrzegam najczęściéj łzę politowania; ten mi ofiaruje czystą wodę ze zrzódła, ten dzieli się kawałkiem chleba, który z potem czoła zarobił; każdy chce się czémściś przysłużyć, czémściś, choćby słowem tylko, dobroć serca okazać. A przecież to ci sami ludzie, których koń mój rozbijał, któ-

rych mój oddźwierny od drzwi moich odpychał, którym ja z dumą wyrzucałém czasem pieniądze, odwracając się od ich podziękowania. Czémże była dla mnie garść złota, a czém jest dla tych biédaków kęs chleba, który sobie ujmują? O! gdy to porównywam, dziwię się ich wspaniałemu sercu. Oni mi nie pamiętają mojéj pychy, mojéj pogardy, moich występków i za to wszystko odpłacają mi miłosierdziem. Wielką jest natura ludzka, zaczynam ją szanować.

GONZAGO.

A ja ciebie, mój Leonardo!

HRABIA.

(ściska jego rękę),

Dziękuję ci, przyjacielu! umacniasz mię. Może mi i ona przebaczy — tam.

GONZAGO.

Przebaczy ci, przebaczy bez wątpienia.

HRABIA.

(patrzy nań z uwagą).

Tyś w podróży? Gonzago!

Gonzago.

Ofiarowałem się do Loretu — ztamtąd pójdę do Rzymu.

Hrabia.

Ach! i jabym poszedł.

Gonzago.

Czemuż nie? to przyniesie ulgę twemu sercu.

Hrabia.

Ja ulgi nie chcę, Gonzago!

Gonzago.

Tyle miejsc mamy po drodze, wsławionych cudami opieki i miłosierdzia.

Hrabia.

Zrobiszże dla mnie tę ofiarę? — Jak ci iść ze mną? na mojém czole napisano: zabójca.

Gonzago.

Na twojém czole napisano: pokutnik — Zbierz się, Leonardo, i pójdźmy.

Hrabia.

Jam gotów. Moje wszystko ze mną—tu. — Idziemy. (*wychodzą*)

Scena czwarta.

(Miejsce przed domkiem Lucyi, jak w scenie trzeciéj aktu IV.— Klaudya siedzi przy altance, Fabio stoi przy niéj).

KLAUDYA.

Byłeś więc nieubłaganym?

FABIO.

Byłem okrutnym i nieubłaganym. Wzrok mój był umarły i wygasły a głos uroczysty i groźny.

KLAUDYA.

Jabym umarła.

FABIO.

I ona drżała jak liść. Wlepiła we mnie oczy i nie śmiała ich odwrócić. Straciła wolę i siłę, a głos jéj stał się tak głuchym iak brzęk ołowiu.

KLAUDYA.

I mogła jeszcze do ciebie przemówić? mnieby język skamieniał.

FABIO.

Prosiła się, przyrzekała pokutę. Ale gdy

mi rzekła że pójdzie do klasztoru, i za pokój mojéj duszy dzień i noc modlić się będzie, małom nie stracił powagi zagniewanego ducha i w głos się nie rozśmiał.

KLAUDYA.

Niedowiarki!

FABIO.

Nie miałżem powodu nie wierzyć?

KLAUDYA.

Nie dotrzymałaż słowa? Jak musi być śliczną teraz! radabym ją widzieć zakonnicą.

FABIO.

Nie obaczysz jéj, Klaudyo!

KLAUDYA.

Czemu? Czyż ona nie warta litości? mówicie z uszanowaniem o Leonardzie we włosiennicy, a nie wzrusza was biédna, młoda kobiéta, zamknięta w okropnych murach ze wspomnieniami płochości, z pamięcią występku? — To niesprawiedliwość.

FABIO.

Posłuchaj co się stało. Jéj służąca wiedziała o wszystkiém. — Ze strachu i za pie-

niądze milczała do pewnego czasu. Nakoniec nie mogła wytrzymać. Gdy już Dyana była w klasztorze, wypaplała jéj wszystko. Dowiedziawszy się, że moja godność ducha była czystą uzurpacyą, a całe to zjawienie komedyą; zważywszy żem ja żywy, i że nikogo żywego, przy tylu wdziękach, niéma potrzeby się lękać... uciekła z klasztoru.

KLAUDYA.

Ach Boże mój! — i cóż?

FABIO.

Wyjechała do Wenecyi ze śpiewakięm Bonifacio.

KLAUDYA.

Zgubiona kobiéta!

FABIO.

Już dawno zgubiona.

KLAUDYA.

Co za szkoda tak rzadkiéj piękności!

FABIO.

Piękność, moja droga Klaudyo, bez czystéj i niewinnéj duszy, jest to kosztowne, mar-

murowe naczynie. Jego robota cudowna, formy zadziwiające, ale wewnątrz — błoto.

(*Lucya wchodzi prędko z listem w ręku*).

KLAUDYA (*powstaje*).

Co to ci? Lucyo!

LUCYA.

O! co za radość! patrzcie jak mi serce bije. Weźcie to — czytajcie — list Gonzaga — Oni już blisko. Winszujcie mi szczęśliwéj. On wié o wszystkiém — on godzien przebaczenia.

KLAUDYA.

Gdzież on?

LUCYA.

Czytaj, czytaj.

(*Hrabia wpada w uniesieniu — za nim spieszy Gonzago*).

HRABIA.

Ona żyje — ona zdrowa — ona mi przebacza i ja nie zabójca! Lucyo! Lucyo!

LUCYA.

Leonardo!

(*rzuca się w jego objęcia*).

HRABIA.

Lucyo! jakaś ty dobra, jak rumiana, jak piękna!

LUCYA.

Szczęście mię ozdobiło, Leonardo!

HRABIA.

Boże mój! nie senli to? — Fabio! podaj mi rękę. Wy mię przyjmujecie do waszego raju? Wy mi przebaczacie? — Stwórco niebios! czémże zasłużyłem na taką chwilę? Lucyo! toś ty modliła się za mnie, to twoja czysta dusza objęła skrzydłami swemi moję, skalaną, i upaść jéj nie dała — dzięki ci, mój aniele!

(pada przy jéj nogach).

LUCYA. *(podejmuje go).*

Powstań, mój mężu! jam za wszystko nagrodzona.

HRABIA.

(powstaje i pogląda wokoło).

Jak tu u was jasno! jak tu czysto i zielono! jakie wasze twarze świéże i radosne! O! bluźnił ten, kto nazwał ziemię padołem płaczu.

LUCYA.

Tu wrócimy, Leonardo. A teraz idźmy wszyscy do Rzymu. Upadnijmy do nóg Ojca

Świętego, niech nam przebaczy nasze obłąkania i niech władzą swoją wskrzesi umarłych.

FABIO.

(bierze rękę Klaudyi).

A wskrzeszonym niech pozwoli dać szlub.

(całą tę scenę Gonzago stał z boku i patrzał na nich z rozrzewnieniem).

HRABIA.

(bierze rękę Gonzaga).

Gonzago! ze wszystkich darów Niebios, najwyższym darem jest przyjaźń rozumnego człowieka. Dzięki ci za moję cnotę.

LUCYA.

I za moje zdrowie.

FABIO

Gonzago! dzięki ci za moje życie.

KLAUDYA.

I za moje szczęście.

GONZAGO.

Nie zawstydzajcie mię, moi mili! Nic się tu szczególnego nie zrobiło. Dobra wasza natura uratowała was. Na świecie więcéj jest da-

leko występnych mężów niż żon, ale mąż może się opamiętać i powróciwszy do cnoty, może powrócić żonie szczęście i pokój. Biada zaś kobiécie, która się zbłąka — dla niéj niéma drogi nazad.

KONIEC.